

# Poznaj Świat

3  
2011

Cena 9,95 zł (w tym 8% VAT)

UKAZUJE SIĘ OD 1948 ROKU

Pierwszy na świecie  
Samotnie  
Kajakiem

str. 56

Grzegorz Kapla  
ARGENTYNA

str. 88

Monika Oksza-Strzelecka  
WYSPA KANGURA

str. 46

Beata Pawlikowska  
MEKSYK

Aleksander Doba  
**POKONAŁ  
ATLANTYK** str. 18

ISSN 0032-6143 INDEKS 369802



9 770032 614100 03



+

DOKUMENT: JASKINIE ŚWIATA SANKT MORITZ WENZUELA BOLIWIA SENEGAL

3/2011



  
**GDYNIA**  
okno na świat



# 13. OGÓLNOPOLSKIE SPOTKANIA PODRÓŻNIKÓW, ŻEGLARZY I ALPINISTÓW 11-13 marca 2011 r.

Hala Sportowo-Widowiskowa „Gdynia”  
ul. Kazimierza Górskiego 8 (wstęp wolny)

- prelekcje, pokazy, filmy • seminarium • gala finałowa
- wystawy fotografii • targi książki podróżniczej
- targi odzieży i sprzętu outdoorowego

[www.kolosy.pl](http://www.kolosy.pl)  
[www.gdynia.pl/spotkania](http://www.gdynia.pl/spotkania)

organizatorzy



współpraca



sponsor outdoorowy



patroni medialni



patroni specjalistyczni





Meksyk str. 46



Argentyna str. 56



Wenezuela str. 72



Australia str. 88



Senegal str. 82

Nasz świat **FotoForum Czytelników** str. 6

## Węże spadają z nieba

str. 14  
nowe opowiadanie autorstwa **Wojciecha Albińskiego**

## ALEKSANDER DOBA, POGROMCA ATLANTYKU

str. 18  
Podczas gdy jego rówieśnicy spacerują z wnukami,  
a na schodach dostają zadyszki – on, 65-latek,  
z wiosłem w dłoni POKONAŁ ATLANTYK!

Tam tam i inne kierunki felieton **Dariusza Rosiaka** str. 32

Geoskop str. 34

Navigator str. 39

## MEKSYK

str. 46  
Niestrudzona podróżniczka prowadzi przez cejlońskie  
plantacje herbaty, przywołując zagmatwane losy Sri Lanki.  
**Tekst Beata Pawlikowska**

Z perspektywy felieton **Ryszarda Badowskiego** str. 54

## ARGENTYNA

str. 56  
W Buenos pocałunki są wszędzie. W słońcu i w cieniu.  
Namiętne i ukradkowe. Są jak uścisk ręki. **Tekst Grzegorz Kapla**

Mazurek na wynos felieton **Roberta Mazurka** str. 64

## SZWAJCARIA

str. 66  
Na pacyficznym Złotym Wybrzeżu krzyżują się drogi handlarzy  
narkotyków i gwiazd kina. **Tekst Elżbieta Pawełek**

## WENEZUELA

str. 72  
Błyskawice Catatumbo warte zachwytu. Podziwiać je można  
jedynie nad jeziorem Maracaibo. **Tekst Izabela Stachowicz**

## BOLIWIA

str. 78  
Jeszcze jakieś sto lat temu nie mieszkał tu prawie nikt. Nawet  
odporni na zimno i przyzwyczajeni do dużych wysokości  
Indianie Ajmara omijali ten kraniec Boliwii z daleka. **Tekst Olga  
Pietkiewicz**

## SENEGAL

str. 82  
Ten zachodni kraniec Afryki rozbrzmiewa rytмами reggae,  
a każdy Senegalczyk ma duszę artysty. Trudna kolonialna  
przeszłość, handel niewolnikami, ani obecna bieda i bezrobo-  
cie nie przyćmiły pogodnego oblicza tego kraju. **Tekst Magda i  
Miroslaw Osip-Pokrywka**

## AUSTRALIA

str. 88  
Od stycznia w tym kraju o hanzeatyckich korzeniach  
obowiązuje euro. **Tekst Monika Oksza-Strzelecka**

## POLSKIE DINOZAURY

str. 96  
W Polsce zachowało się sporo autentycznych śladów  
dinozaurów sprzed milionów lat. Wciąż otwierane nowe parki  
jurajskie mają się czym chwalić.  
**Tekst Grzegorz Micuła**

Outdoor str. 104

## DOKUMENT: JASKINIE

str. 106  
Wyprawy grotolazów to możliwość odkrywania  
miejsc, do których jeszcze nie dotarł człowiek. Swo-  
je sekrety ujawniają jaskinie: Meksyku, Hiszpanii,  
Francji i Polski. **Tekst Katarzyna Biernacka**

Fotofelieton i Gadżety **Marka Arcimowicza** str. 118

Polska, której nie ma str. 120



NA OKŁADCE:  
Aleksander Doba,  
który przepłynął  
Atlantyk kajakiem  
w 99 dni!

## 99 DNI

Tyle było trzeba, aby Aleksander Doba, emeryt z Polic, dokonał czynu jakiego nikomu nie udało się dokonać wcześniej. Samotnie, bez eskorty, z pomocą jedynie dwojga swych rąk – stanął do walki z żywiołem, przed którym czują respekt morscy wędrowcy na łódkach, statkach i okrętach. Cóż dopiero śmiałek w łupince kajaka! Podczas gdy jego rówieśnicy spacerują z wnukami, a na schodach dostają zadyszki – on, 65-latek, z wiosłem w dłoni POKONAŁ ATLANTYK!

Miarą wyczynu niech będzie fakt, że żaden z tych – raptem trzech na świecie – którzy dokonali tego wcześniej, trasą swego rejsu nie połączył brzegów właściwych kontynentów. Oni startowali lub kończyli na wyspach. Tylko Olek Doba działał więcej!

Miarą natomiast hierarchii wartości, jaką wyznają popularne media, jest żenujące zignorowanie przez nie tego nadzwyczajnego wyczynu. Plastikowi idole znowu górą, ponad męznym człowiekiem, bohaterem z krwi i kości.

Zrządzeniem losu – wyczyn kajakarza zbiegł się z początkiem nowej ery w ponad 60-letniej historii „Poznaj Świat”. Po raz kolejny bowiem redakcja znalazła się w Gdańsku. Z tej okazji, obok – nastrojowa fotoimpresja z naszego pięknego miasta. Podobno nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki, jednak po ponad dwóch latach przerwy – z przyjemnością znów się w niej zanurzę.

## Janusz Czerwiński

JANUSZ CZERWIŃSKI  
REDAKTOR NACZELNY (AD INTERIM)







Marek Mazur

GDĄSK

# Magicznym okiem

Gdańsk uchwycony  
obiektywem wykonanym  
z bryły bursztynu przez  
Marka Mazura, twórcę  
niezwykłych aparatów  
fotograficznych.







Krzysztof  
Mierzejewski

NOWA ZELANDIA

## Trudny wybór

### **Pływać z delfinami, czy je fotografować?**

Przed takim dylematem stanąłem podczas rejsu wzdłuż wschodnich wybrzeży południowej wyspy Nowej Zelandii. W czasie tej podróży miałem też nadzieję na spotkanie z kaszalotem. Wieloryby, na które przed wiekami polowali mieszkańcy pobliskiej osady Kaikoura, dziś, przyciągając turystów, są źródłem dobrobytu potomków nowozelandzkich osadników.

**Przyślij zdjęcie!** Na nasz adres: [redakcja@poznaj-swiat.pl](mailto:redakcja@poznaj-swiat.pl) przysyłajcie zdjęcia w formacie jpg (maksymalnie 900 pikseli dłuższego boku i nie więcej niż 300 kB). W tytule piszcie FOTOFORUM. Inny sposób na przesłanie zdjęcia to wypełnienie formularza na naszej stronie: [www.poznaj-swiat.pl](http://www.poznaj-swiat.pl). Dzięki FOTOFORUM wszyscy zobaczą, jak wygląda nasz wspólny świat.



Dariusz Małkowski

ISLANDIA

## W oddechu Ziemi

Nad wieloma kraterami w północno-wschodniej Islandii, słynącej z kolorowych formacji skalnych, rozległych pól lawowych czy źródeł geotermalnych, unoszą się pióropusze pary. Stojąc przy nich, można poczuć na policzkach gorący oddech Matki-Ziemi.

Ania Dąbrowska

MONGOLIA

## Nasi sąsiedzi

W krainie bezkresnych stepów Mongołowie, jak przed wiekami, stawiają jurty tam, gdzie znajdują bogate pastwiska dla swoich zwierząt. A jednak przynajmniej niektórzy z nich stali się naszymi sąsiadami w globalnej wiosce. Bardzo możliwe, że pasjonują nas te same programy nadawane przez TVsat.







**Przyślij zdjęcie!** Na nasz adres: [redakcja@poznaj-swiat.pl](mailto:redakcja@poznaj-swiat.pl) przysyłajcie zdjęcia w formacie jpg (maksymalnie 900 pikseli dłuższego boku i nie więcej niż 300 kB). W tytule piszcie FOTOFORUM. Inny sposób na przesłanie zdjęcia to wypełnienie formularza na naszej stronie: [www.poznaj-swiat.pl](http://www.poznaj-swiat.pl). Dzięki FOTOFORUM wszyscy zobaczą, jak wygląda nasz wspólny świat.





Marcin Lipiński

POLSKA, POMORZE

## Niczym zjaw

Szczęk rycerskiego oręza i jęki słyszano nie raz nocą w krzyżackich zamkach. Ale w biały dzień minąć rycerza w zbroi na polnej drodze między Malborkiem a Sztumem – to jednak niecodzienne.

Agnieszka Piecuch

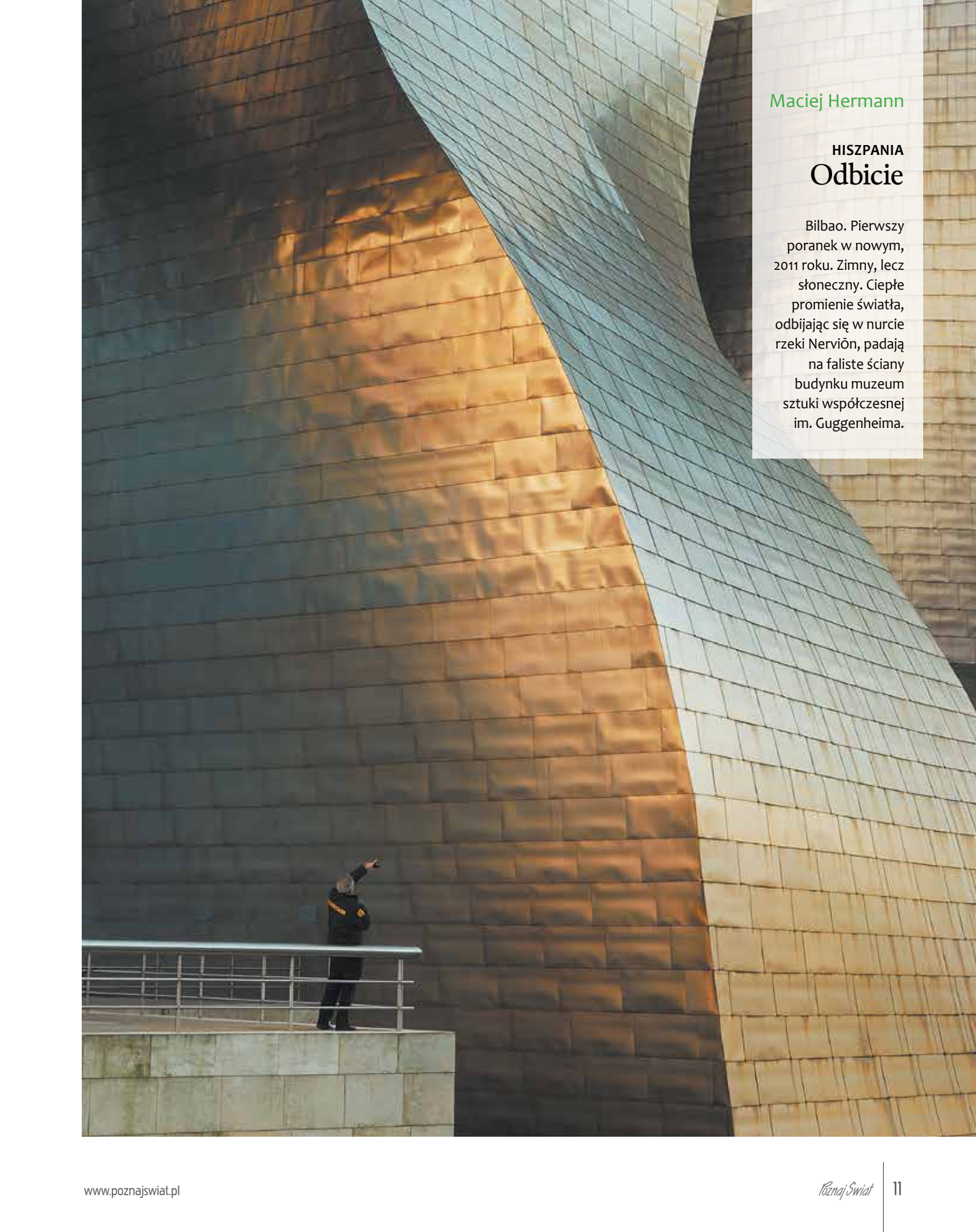
POLSKA, GNIEW

## Teatr z płomieni

Jak przed wiekami do gniewskiego zamku przybywają grupy kuglarskie. Podczas kilku letnich wieczorów zabawiają widzów teatrem ognia. W ciemności nocy scena to ogniasty krąg wokół tancerek.







Maciej Hermann

HISZPANIA  
**Odbicie**

Bilbao. Pierwszy poranek w nowym, 2011 roku. Zimny, lecz słoneczny. Ciepłe promienie światła, odbijając się w nurcie rzeki Nervión, padają na faliste ściany budynku muzeum sztuki współczesnej im. Guggenheima.

Barbara Chowaniak-Kleszcz

POLSKA, BESKIDY

## Warto było

To był pochmurny dzień. Trzy godziny, we mgle, podchodziliśmy na szczyt Babiej Góry (1725 m n.p.m.) Coraz wyżej i wyżej, aż wynurzyliśmy się ponad morzem chmur. Doliny trwały w uśpieniu, a my w nagrodę za trud mogliśmy delektować się wyjątkowym widokiem.





Przemysław Mayer

JANTAR

Czas ucztę

To konieczny rytuał: po oczyszczeniu ryb, złożeniu sieci jeszcze raz trzeba podejść na brzeg, rzucić mewom resztki z połowu. Ptaki wiedzą, że warto czekać na ten moment. Zdjęcie pochodzi z cyklu „RYBACY” i zostało wykonane jesienią ubiegłego roku.



**Prześlij zdjęcie!** Na nasz adres: [redakcja@poznaj-swiat.pl](mailto:redakcja@poznaj-swiat.pl) przysyłajcie zdjęcia w formacie jpg (maksymalnie 900 pikseli dłuższego boku i nie więcej niż 300 kB). W tytule piszcie FOTOFORUM. Inny sposób na przesłanie zdjęcia to wypełnienie formularza na naszej stronie: [www.poznaj-swiat.pl](http://www.poznaj-swiat.pl). Dzięki FOTOFORUM wszyscy zobaczą, jak wygląda nasz wspólny świat.





Wojciech Albiński

# WEŹE SPADAJĄ Z NIEBA

**Albert wargami dotknął wierzchu własnej dłoni, krople potu nie były słone. Zaraz po dotarciu do obozu połknie dwie pastylki soli, inaczej opadną go senność i zmęczenie.**

**K**oszula idącego przed nim Murzyna pokryta była ciemnymi plamami. Tam, gdzie pot wysychł, widniały białe plamy. Powietrze było suche, w obozie czekała na nich woda. Wystarczyło tam dojść...

Posuwali się wąską ścieżką przetartą przez dziwką zwierzynę. Gdy ktoś przystanął, wiedzieli, otarł się o krzak nazywany „poczekaj”. Każda gałązka była obsypana białymi pazurkami z ostrą szpilką na końcu. Nawet przy lekkim muśnięciu pazurki wchodziły głęboko pod skórę. Należało wtedy przystanąć i wyjmować je bardzo powoli. Po dniu wędrówki ociekali krwią.

Albert oparł się plecami o pień baobabu i rozłożył mapę. Wątle gałęzie nie dawały cienia, była to raczej zamaskowana próba odpoczynku. Mapa wyrysowana przez topografów królowej Wiktorii dawała wskazania w rodzaju: „do źródła wody pitnej iść dwa dni na północ”. Albo: „krajowcy

twierdzą, że ta pustynia ciągnie się daleko”. Wyglądało, że są w pobliżu miejscowości o nazwie: „Sierżant Patrick”. Jaką przewagę odniósł tu Sierżant Patrick, o tym mapa milczała. A może po prostu, ze swoim oddziałem, nie zgubił się w tych okolicach...

Albert zdjął z siebie lornetkę i podał ją Nelsonowi.

– *Zobacz, czy czegoś nie widać?*

Nelson popatrzył w koło, gęste krzaki zasłaniały horyzont.

– *Nic.*

Albert wpadł w rozterkę. Czy Nelson domyślił się, że z właściwą białym chytrą, Albert chciał tylko pozbyć się ciężkiego przedmiotu? Wyciągnął rękę. Nelson pokręcił głową

odmownie. I Albert znowu nie

wiedział, czy czarny dumny jest

z lornetki, czy też, niosąc ją,

chce mu tylko wspaniało-

myślnie pomóc.



Każdy coś niósł, taka praca. Toni-Zyrafę teodolit w zielonym pudle, Pulman „base-plate”, służącą do umocowania spodarki, Frank maczety, mapę i toporek. Nagle stanęli i ogarnęło ich ożywienie.

– *Patrz! Tam!* – Nelson i Toni-Zyrafę wskazywali na niebo, gdzie duży szary ptak wzbijał się ponad linię buszu. W dziobie dźwigał wijący się, podłużny kształt.

– *Mamba!* – rozpoznał Nelson.

Tłumili głosy, aby nie płoszyć ptaka. Sympatyzowali z myśliwym. Wężę bali się i nienawidzili. Jad mamby atakuje nerwy, trucizna innych wężę działa wolniej.

– *Teraz!* – zawołali – *Patrz! Teraz go puść!*

Ale ptak z wysiłkiem szedł do góry.

Nagle zawisł, zatoczył dwa małe koła. Szukał prześwitu wśród krzaków. Wiedzieli, co teraz nastąpi, czekali w skupieniu. Niewidocznym z dołu ruchem dzioba i pazurów uwolnił swój łup. Wąż wijąc się, spadał bezładnie eskortowany przez ptaka, przemienionego teraz w ciężką kulę. Ukrył ich busz.

– *Wąż padając łamie sobie kręgosłup* – wyjaśnił Nelson. – *Jesli ptak nie jest pewny, może go zrzucić kilka razy...*

Albert pokiwał głową. Odwieczny problem, czy wąż ma kręgosłup wydawał się rozwiązany.



Zeszli w koryto wyschniętej rzeki. Nadbrzeżne drzewa rzucały cień, ale stopy grzęzły im w piasku. Szli teraz dużo wolniej. Dawno temu już wypili resztki wody i podniebienia zarastały im drewnem. Albert od dwóch godzin myślał wyłącznie o wodzie. Widział siebie, jak siedzi w szwajcarskiej kawiarni, przed nim na drewnianym stole, stoi dzban białego wczesnego wina. Nagie dziewczyny kąpią się w basenie na tle Alp, w klubie, oddzielnym od buszu zardzewiała siatka, mężczyźni przy stolikach przypijają do siebie kufkami zimnego piwa...

Wróciła mu przytomność. Za zakrętem rzeki trzy kobiety zakrzywionymi palcami wygrzebywa-

ły piasek z dna rzeki. W końcu pojawił się czarny muł i trochę wody. Czekają, aż zbierze się więcej cennego płynu, wokół leżały blaszane naczynia.

Szli coraz wolniej, wolniej, zastanawiali się nad mądrością zejścia w piasek. Koryto rzeki zwężało się, pod stopami mieli teraz kamień poprzerastany wyschlą trzcina. W cieniu liściastego drzewa natknęli się na skalną niszę. Wyglądała jak skorupa orzecha o średnicy kilkunastu stóp. Na dnie błyszczała tafła wody.

Zasilane niewidocznym dopływem jezioro utrzymywało się przez cały rok. Niegłębsze niż do kolan, żywiło jeden, mięsisty kwiat, wychodzący ze skalnej szczeliny. Pochylali się nad tą wodą, oddychali wilgocią, zbliżali twarze do lekko falującej powierzchni. Patrzyli na nią nienawistnie.

Na dnie leżały muszle niewielkich ślimaków, wiedzieli, co oznaczają. Albert zrobił ruch, jakby zamierzał zaczerpnąć trochę tego płynu... Zbliżył dłoń. Wielkie oczy Toni-Zyrafę napełniły się przerażeniem.

– *Nie!* – krzyknął – *Nie rób tego!*

– *Dlaczego?*

– *Nie!*

Pośród żółtego buszu zaczęły pojawiać się zielone kępy. W miarę wędrówki trafiało się ich coraz więcej. Przyspieszyli kroku.

– *Rzeka* – powiedział Nelson.

– *Rzeka* – zgodził się Albert.

Na horyzoncie ujrzeli ciemny pas. Niedługo rozróżnią pojedyncze drzewa. To pasmo gór Shushongu. W przecince, biały postument do stawiania teodolitu. Teraz ozdobiony czarnym sygnałem, w kształcie wiatraka. Od wzgórz dzieliła ich rzeka.

– *Woda* – upewniali się.

– *Jak daleko?*

– *Nie tak daleko.*

Już nie oddychali pyłem zeschniętych traw, ale napływającymi falami wilgotnego powietrza.

– *Rzeka* – powtarzali.

– *Rzeka.*

Wkrótce mieli pod stopami zielone podszycie. Stanęli w cieniu nadbrzeżnego drzewa, dotknęli dłońmi śliskiego pnia.

Do łodzi pierwszy skoczył Nelson. To on miał klucz do skrzynki służącej za fotel sternika. Wydobyl z niej cztery butelki wody.

– *Zobaczymy, czy jest dosyć chłodna* – próbowali żartować.





Nelson przekręcił kluczyk, nacisnął guzik startera. Trzymając się zwisających gałęzi ostrożnie schodzili do łodzi. Ostatni odwiązał linę. Rzeka mierzyła tutaj dobre trzydzieści metrów szerokości. Z łatwością omijali wystające z wody pnie drzew, kluczyli wśród suchych gałęzi. Dalekim łukiem ominęli hipopotama, który gdyby uznał, że zbyt blisko się zbliżyli, wrzuciłby ich do wody jednym ruchem łopatek. Nelson lubił mieć w ręku ster, przyspieszał bieg motoru, zwalniał, Albert wiedział, że nie ma teraz nic do roboty.

Położył się na dnie łodzi. Zachodzące słońce, wilgotne powietrze po suchym dniu, chlupot wody o centymetry od jego wysuszonej skóry. Czy tego chciał opuszczając bogate europejskie miasto? Połowa jego przyjaciół twierdziła, że jedzie dręczyć czarnych, inni, że będzie niósł pomoc krajom zacofanym. Nie zastanawiać się, postanawiał sobie, jak zwykle na darmo. Patrzał teraz na przesuwające się korony drzew i niebo z jedną chmurką. Napęłniała go radość po znojnym spędzonym dniu.

Za pół godziny będą w obozie. W gazowej lodowce czekają na nich butelki piwa. Na suchych gałęziach, obok ogniska, tkwią pozatykane emaliowane kubki. To z nich będą pili chłodny napój. Blaszane talerze leżą na obranym z kory pniu, obok aluminiowe noże i łyżki.

Dopływali do skarpy, na której stał obóz. Piasek obsypywał się, wystawały korzenie drzew i krzaków. Motor pracował wolniej. Land-Rover stał pół mili dalej.

– *Jesteśmy głodni* – usłyszał.

– *Bardzo głodni* – powtórzył Nelson.

Z łodzi widać było zielone dachy namiotów i pasmo dymu z ogniska. Znak, że Thomas – kucharz – podrzucił kilka świeżych gałęzi.

– *Wpadniecie do wody. Krokodyl was złapie.*

– *Głodni jesteśmy.*

Albert dźwignął się z dna łodzi i przejął ster. Skierował łódź w stronę wysokiego brzegu. Nelson i Toni-Zyrafę chwytając się zarośli wydobyli się na suchy ląd. Ich głosy oddaliły się i ucichły.

Uwolniona od ciężaru łódź podniosła dziób. Albert zawrócił jej bieg ku głównemu nurtowi. Wkrótce rzeka zamieniła się w rozlewisko. Zbliżyły się błotniste wyspy, z wody zaczęły wyłazić mięsiste rośliny. Pojawiły się różowe kwiaty, rozłożone, jak krowie języki.

Cieszyło go, że zostawił towarzyszy na brzegu. Łódź zanurzona głębiej mogłaby utknąć w mule. A wtedy skakaliby w ciepłą maź, wylęgarnię życia, której dotknięcie brzydziło go. Śliskie, lepkie rośliny, węże wodne... A nad błyszczącą taflą, wyposażone w szczypce, ssawki i trucizny, krążące insekty i motyle.

Ujrzał znajomą kępę drzew i biały dach Land-Rovera. Dotknął kieszeni koszuli, kluczyki były na swoim miejscu. Zrzucił z głowy kapelusz, zdjął ciemne okulary. Przyspieszył bieg łodzi i skierował ją w kierunku piaszczystej łachy, której używali jako przystani. Dziób roztrzącił trawy i zarył się w mule. Albert mógł teraz zacumować.

Wiosłem przybliżył burtę do płaskiego głąza. Z linką w ręku wyskoczył na brzeg, zarzucił ją na wystający korzeń. Chciał przewiązać mocniej, ale sznur wypadł mu z dłoni. Albert nie próbował go podnieść...

Stał zaskoczony nagłym uderzeniem noża pomiędzy kostką a kolaniem. Zielona pręga odpadła od jego nogi i zaszeleściła w trawie. Pochylił się, rany od ukłucia były dobrze widoczne i już nabiegały krwią. Wypalić, wyssać, wyciąć nożem? Ale pomysł wycinania sobie kawałka nogi wydał mu się niedorzeczny.

Jednoręki Anglik, którego spotkał w klubie przy tenisowych kortach, ostrzegł go przed węzami. Krótkie spodnie, skarpety do kolan, koszula khaki ani zmięta, ani zbyt wyprasowana, stary kolonialista, sądząc z tego stroju, i powinien znać się na rzeczy. Posługiwał się akcentem, którego nikt w „Starym Kraju” już nie używał. Zaczynając się, płynnie i obficie mówią tylko tubylcy, informował, że z dziewięćdziesięciu gatunków węży znanych w tej okolicy, tylko pięćdziesiąt atakuje człowieka. Czarni boją się ich panicznie, ale też wiedzą, jak ich unikać. Omijają miejsca, gdzie węże polują, albo wygrzewają się na słońcu. Wspomniał coś o nasłonecznionych kamieniach, których należy unikać... Zwłaszcza nadrzecznych.

Ból narastał, dochodził do kolana. Albert dwoma palcami ścisnął ranę, tak aby wycisnąć z niej zakażoną krew wraz z trucizną. Być może w obozie, lub w samochodzie, jest jakieś antidotum, ampułki z serum, ale te źle znoszą gorąco i na pewno straciły już wartość. Obiecał sobie, że będzie na tyle opanowany, aby małym pilnikiem przeciąć szklaną ampułkę. Potem nie tracąc ani kropli robi sobie zastrzyk, połowę ampułki w mięsień, a połowę w ranę.



Ruszył w kierunku Land-Rovera. Samochód oddalony był o sto kroków. Mapy i kawałki ubrania zostawił w łodzi, podobnie jak pusty zbiornik na wodę.

Słońce dopiero chyliło się, a już odczuwał dotkliwie zimno. Ten przeraźliwy chłód... Mieć sweter albo koc...I dużo, dużo gorącej kawy.

Z trudem otworzył drzwi i wciągnął się do wnętrza samochodu. Zatrzasnął je za sobą. Gdyby zasnął po drodze, przyszedłby po niego krokodyl. Świeża padlina, co może być smaczniejszego... Może tylko padlina już trochę cuchnąca.

Postanowił skupić się nad tym, co robi, nad najdrobniejszymi czynnościami. Powietrze było mroźne, ale nie lodowate. Uporał się z guzikiem koszuli, wyjął kluczyki. Dłuższy jest do stacyjki, ale do czego jest krótki? Do drzwiczek samochodu. Zdziwił się, gdy okazało się, że jest odwrotnie.

Z wszystkich stron napływało chłodne powietrze, coraz zimniejsze...



W tym samym czasie, kucharz i strażnik obozu Thomas, zdecydował wybrać konserwy na kolację. Lekko kołysząc się na nogach, zbliżył się do namiotu Alberta i odchylił połę. Przewiązał ją, aby nie opadła. Wewnątrz panował mrok.

Thomas podniósł do góry obie dłonie. W lewej trzymał puszkę ze spaghetti z wieprzowiną, w prawej dużo większą, ryż z kurczakiem.

Zwrócił się w stronę, gdzie zwykle stało polowe łóżko:

– *Na kolację zagrzzać ryż, czy spaghetti?*

Gdy nie otrzymał odpowiedzi, rzekł ciszej:

– *Niech pan śpi. Przyjdę później...*

Wrócił na swój stołek przy ognisku.

Thomas lubił podać smacznie przyrządzone danie. Wracając po pół godziny, zaproponował trzecią potrawę.

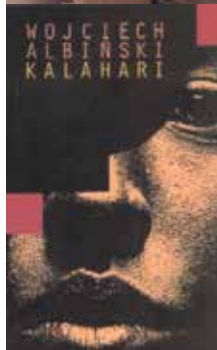
Mamy jeszcze fasolę w brązowym sosie. Na ciepło? Z kawałkami wołowiny?

Znowu brak odpowiedzi. Żadnego poruszenia.

Człowiek zmęczony – rzekł sobie.

Odwiązał sznurki i rozpuścił połę namiotu. Jutrzejsze słońce nie uderzy leżącego Alberta w twarz. ○

## O Autorze...



Wojciech Albiński (urodzony w 1935 roku w Warszawie) od najmłodszych lat pasjonował się literaturą. Podczas studiów geodezyjnych na Politechnice Warszawskiej był jednym z założycieli pisma „Współczesność” – wraz ze Stanisławem Grochowiakiem, Ireneuszem Iredyńskim, Romanem Śliwonikiem – na jego łamach publikował swoje wiersze i opowiadania. Należał też do Koła Młodych przy Związku Literatów Polskich. W 1963 roku wyjechał za granicę, mieszkał w Paryżu, a później w Genewie, współpracował z paryską „Kulturą”. W roku 1969 wyjechał do Afryki, przez wiele lat pracował jako geodeta w Botswanie i RPA.

W 2003 roku opublikował w Polsce tom opowiadań „Kalahari”, który otrzymał nagrodę im. Józefa Mackiewicza i został nominowany do nagrody Nike. Od tego czasu Albiński wydał: „Królestwo potrzebuje kata” (2004), „Antylopa szuka myśliwego” (2006), „Lidia z Kamerunu” (2007) i „Achtung! Banditen!” (2009).

Opowiadania Wojciecha Albińskiego świadczą o jego dogłębnym zrozumieniu mentalności afrykańskiej, a także o ogromnej wrażliwości na problemy dręczące ten kontynent. To przejmujące historie, które ze względu na realistyczne tło i kontekst są źródłem wiedzy o Afryce. Bogata wyobraźnia autora, jego umiejętność tworzenia niezwykłych losów bohaterów i piękny język, nadają opowiadaniom uniwersalną wartość literacką.

Następne opowiadanie Wojciecha Albińskiego w numerze kwietniowym.

Jak turysta Doba

# OCEAN OKIĘŁZNAŁ

Opracował Janusz Czerwiński  
na podstawie rozmowy z Aleksandrem Dobą,  
przeprowadzonej przez Jerzego Arsobę w Fortalezie, w Brazylii  
zaraz po zakończeniu rejsu






**TRANSATLANTIC  
KAYAK EXPEDITION**  
alone by kayak across the Atlantic Ocean  
Aleksander Doba, Poland 2010-2011

TRANSATLANTYKRA WYPRAWA KAJAKOWA  
samodzielnym kajakiem przez Ocean Atlantycki  
2010-2011





Jest 10 grudnia 2004 roku. Z afrykańskiego portu Tema w Ghanie startuje wyprawa „Kaylantic”. W specjalnie przygotowanym dwuosobowym kajaku – katamaranie wioślowo-żaglowym – dwóch znanych polskich kajakarzy: Paweł Napierała i Aleksander Doba. Cel: pokonać Atlantyki! Niestety – próba kończy się już po 42 godzinach rejsu. Prądy morskie znoszą ich z powrotem. Nie taki kajak, nie takie wyposażenie, brak oceanicznych doświadczeń.

Redakcja tekstu może czytelnikowi wydać się trochę surowa, ale postanowiliśmy walczyć o aktualność i udostępnić tę relację jak najszybciej.

Jest 26 października 2010 roku, godz. 14:30. Z Dakaru, stolicy Senegalu, wypływa żółty kajak. Niezwykła konstrukcja budzi w porcie sensację. W kokpicie – Aleksander Doba. Tym razem płynie sam. **Cel bez zmian: pokonać Atlantyki!**



### NIE TEMA, TO DAKAR

**Przed laty start z portu w Ghanie sukcesu nie przyniósł. Teraz stolica Senegalu przyniosła wyprawie szczęście.**

### TURYSTA

Jestem kajakarzem. Turystą. Nęcą mnie wciąż nowe trasy, nowe rzeki, morza. Nowe wyzwania. Na liczniku przebytych kilometrów mam ich już ponad 70 tysięcy – przepłyniętych kajakiem po wielu rzekach i morskich akwenach. Gdy z Pawłem Napierałą podjęliśmy nieudaną próbę przepłynięcia Atlantyku, byłem rozczarowany. Bardzo! Sprawa ta przez lata nie dawała mi spokoju. Aż w końcu... postanowiłem spróbować ponownie! Jednak przybyło mi już trochę lat, więc była to jedna z najtrudniejszych decyzji w moim życiu.

### DAKAR – FORTALEZA

Dlaczego właśnie tędy? Trasa z Afryki do Ameryki Południowej narzucała się sama. Konsultowałem to z wieloma ludźmi, głównie żeglarzami i meteorologami – zwłaszcza zaś z Andrzejem Armińskim, żeglarzem znakomitym; to z nim właśnie wspólnie wybraliśmy szlak z Dakaru do Fortalezy. To jedna z najkrótszych tras między tymi kontynentami. Miała zapewnić mi możliwe maksimum bezpieczeństwa. Liczyliśmy na to, że w okresie, kiedy miałem płynąć, nie ma tam z reguły zjawisk tak groźnych jak początki hurai-



## CO POTRAFIŁ „TURYSTA”

Aleksander Doba mówi o sobie: „turysta”. Niezorientowanym – przypomnijmy:

- Rok 1988: rejs na trasie Przemyśl – Świnoujście, 1149 kilometrów w ciągu 13 dni
- Rok 1999: nasz bohater opływa Bałtyk
- Rok 2000: 5369 kilometrów na trasie Police – Narwik. Rejs trwa 102 doby, w skrajnie trudnych warunkach apogeum jesiennych sztormów na Morzu Północnym
- Przy tych wyczynach opłynięcie niedawno jeziora Bajkał to była już „bułka z masłem”.

To tylko największe dotąd wyczyny najbardziej znanego w Polsce kajakarza, który – owszem – uprawia turystykę – lecz taką z najwyższej półki.



ganów czy też bardzo gwałtownych, długotrwałych sztormów. Przygotowywałem się rzetelnie, studiując mapy, relacje żeglarzy, prognozy. Czy jest w ogóle możliwe bezpieczne, samodzielne przepłynięcie Atlantyku? Kiedy doszedłem do wniosku, że jest szansa – zacząłem szukać producenta, który byłby w stanie zbudować odpowiedni kajak.

Konstruktorzy ze szczecińskiej stoczni Andrzeja Armińskiego podeszli poważnie do zapewnienia mi bezpieczeństwa, przekraczając w tym znacznie nawet moje życzenia. Kajak z włókna węglowego miał zapewnić możliwość przetrwania każdego sztormu – i tak właśnie się stało. Owszem, jest nietypowy – jak widać na zdjęciu. Nie widać na przykład miecza, którego w ka-

jakach raczej się nie stosuje, a co wybitnie pomaga utrzymać stateczność.

Siedmiometrowa jednostka została wyposażona w niezbędne do przeżycia urządzenia takie jak: odsalarka, panel słoneczny, akumulator, instalacja wody słodkiej. Bezpieczeństwo zapewniały dwie komory wypornościowe, podział na przedziały wodoszczelne oraz pałaki zapobiegające obróceniu do góry dnem, a schronienie kajakarzowi zapewniała niewielka kabina na dziobie zamykana wodoszczelnym lukiem. Łączność ze światem zapewniona była przez telefon satelitarny oraz dzięki GPS. Energii do wiosłowania dostarczały liofilizowane posiłki, zapasy słodyczy oraz ryby, które udawało się złowić po drodze.

## OLEK I „OLO”

**Kajak „Olo” z kapitanem Olkiem dopięli swego. Obaj mogą być z siebie dumni.**

#### NA GRANICY ŚWIATÓW

Płynący kajak ślizga się po tafli wody. Tuż pod jej powierzchnią zaczyna się, wciąż niemal nieznaną, kraina oceanicznej głębi. Człowiek, w łupince kajaka, może tylko przeczuwać tajemnice, jakie ona kryje.



Kapitan i majtek. Majtek i kapitan.

# OBRAZKI Z WYPRAWY



## LOS WE WŁASNYCH RĘKACH

**Woda w oceanie jest znacznie bardziej słona niż w Bałtyku. Podczas długiego rejsu sól wżera się stopniowo pod skórę, drażni oczy.**

**Do spótki z wiatrem i słońcem przyprawia człowieka o cierpienie. Samotny kajakarz, zdany tylko na sprawność swoich dłoni, nie ma wyboru: trzeba to wytrzymać!**

**N**a tej wyprawie pełniłem różne role: kapitana i załogi. Czasem kapitan decydował, co robić, a załoga nie chciała... Gdy byłem bardzo zmęczony, próbowałem odkładać czynności na później, ale wówczas odzywał się we mnie kapitan, zmuszając mnie do wykonania koniecznych obowiązków, więc jako załogant musiałem wychodzić nawet przy paskudnej pogodzie. Na przykład wtedy, kiedy następowały serie burz, gdy po 4-5 godzinach walki z żywiołem byłem przemoczony, zmęczony i pomimo tropiku było mi po prostu zimno. Po takich kilku godzinach, gdy próbowałem się ogrzać w kabinie, często okazywało się, że trzeba znowu wyjść i coś jeszcze zrobić. Kapitan wydawał rozkaz: zakładaj pas, wylaż na pokład! Umocuj to, co się poluzowało!

Wniosek na przyszłość: przed udaniem się do kabiny należy wszystko sprawdzić! Kładąc wiosło na pokładzie, mocowałem je za pomocą krawatów, czyli

krótkich linek. Przywiązywałem do pokładu, żeby nawet największy wiatr czy fale nie miały szans porwać go, bo to przecież mój motor. Co prawda, miałem jeszcze dwa wiosła zapasowe, ale nie mogłem sobie pozwolić na utratę choćby jednego.

Miałem łączność ze światem i z bliskimi osobami, mając ze sobą telefon satelitarny, a dla bezpieczeństwa nawet dwa. Mimo że rozmowy są drogie, często łączyłem się z żoną i synami. Wiedziałem, że ludzie trzymają kciuki, przesyłają pozytywną energię i to mnie podtrzymywało na duchu, pomagając przetrwać trudne chwile. Najtrudniej było podczas burz, ale świadomość, że ludzie wierzą, iż przepłynę, że dam radę – dodawała mi naprawdę mnóstwa energii. Bywało, że walczyłem z silnym, przeciwnym wiatrem i zamiast posuwać się do przodu – cofałem się. Raz nawet, zrobiwszy ogromną pętlę, wróciłem w to samo miejsce, w którym byłem kilka dni wcześniej.

## HURRA – WRESZCIE LEŻĘ!

Wyruszając w podróż – musiałem mieć kabinę i miejsce do spania. W kabinie, na podłodze miałem dwie karimaty i gretingi (czyli płyty oddzielające karimaty od dna). Gdy do kabiny dostawała się woda – nie moczyła mi karimat, lecz pozostawała pod płytami. Miejsce to sprawdzałem przez otwory kontrolne, wietrzyłem i wybierałem raz po raz wodę, która pod postacią deszczu lub wlewających się fal wciskała się pod pokład.

W Szczecinie, załadowując kajak wielką liczbą niezbędnych rzeczy – zapomniałem jedynie o... sobie! Okazało się, że pod pokładem mieszczą się z trudem, przez co przez pierwsze dwa tygodnie musiałem spać skulony. W miarę jak ubywało zapasów jedzenia – miałem coraz więcej miejsca dla siebie. Wreszcie nadeszła ta wspaniała chwila: mogłem położyć się na plecach i wyprostować nogi!!!

Leżeć a wyspać się – nie to samo... Fale nie zawsze mile kołysały do snu. Właściwie – prawie nigdy. Po kilku spokojnych – pojawiała się silniejsza i jeśli akurat nie byłem bardzo zmęczony, budziłem się co chwilę. Początkowo, jako tako, spałem dwie do czterech godzin. Potem nieco więcej. Przy trudniejszych warunkach i dużych falach o śnie nie było mowy.

Na całej kilkumiesięcznej trasie miałem tylko półtorej doby ciszy: ocean był gładki, jak lustro.

Przed podróżą myślałem, że będzie upał, gorąco, nie będę mógł wiosłować, więc będę próbował spać... Rzeczywistość była inna. Ani razu nie





udało mi się w upale zasnąć. Mimo że kabina była od zewnątrz pomalowana na białą, aby odbijała promienie słoneczne – w środku było gorąco, jak w piecu. Spałem więc tylko nocą, ale wtedy brakowało mi czasu na wiosłowanie, więc dzieliłem noc pomiędzy namiastki snu a poruszanie się do przodu. Wciąż nie mogłem porządnie wypocząć.

### CZY WYCIĄĆ WYROSTEK (NA WSZELKI WYPADEK)?

Miałem apteczkę zaopatrzoną dość bogato. Ponieważ jestem inżynierem mechanikiem, a nie lekarzem – byłem w kontakcie z medykami różnych specjalizacji. Kiedyś czytałem, że niektórzy żeglarze przed rejsem udawali się na operację i wycinali sobie zdrowy wyrostek robaczkowy – na wszelki wypadek, pozbawiając się potencjalnego kłopotu! Ja wyrostek mam nadal. Na szczęście, na trasie nie musiałem konsultować się z lekarzami.

Za to – zdarzały się problemy drobniejsze, ale bardzo uciążliwe. Nazajutrz po opuszczeniu Dakaru, przy bardzo wysokiej temperaturze, na spocym ciele pojawiła się wysypka. Cały byłem pokryty bąbelkami, co wyglądało paskudnie i swędziało.





## „OLO” NIE WIELORYB

Ryby jednak wytrwale towarzyszyły Wielkiej Żółtej Rybie.

Powinienem być myć się w słodkiej wodzie, ale ta była na to zbyt cenna. Do końca podróży tak się więc męczyłem. Ozdrowiła mnie dopiero kąpiel pod prysznicem w brazylijskim porcie.

Kilka razy byłem też na granicy udaru ciepłego; to było ostrzeżenie, bym nie wiosłował w upale. Rano, gdy wstawałem, nie mogłem otworzyć oczu, tak były zaropiałe. Sól wchodziła do nich, drażniła spojówki – dobrze, że miałem krople, które przynosiły ulgę. Płynąc w warunkach tropikalnych, bardzo się pocilem. Wychodziłem na pokład w eleganckim stroju: białej koszuli z długim rękawem oraz białych rękawiczkach. To dla ochrony przed słońcem. Kajak ma 7 metrów długości, ale ja do chodzenia miałem tylko 4 metry: od wjazdu do kabiny – po rufę. Chciałoby się pospacerować, pobiegać. Cóż, mój kajak ma metr szerokości, spacerować więc robiłem głównie na czworakach.

Na rufie miałem także toaletę i łazienkę. Spocyny, najchętniej wskoczyłbym do oceanu. Ale już po tygodniu od wypłynięcia z Dakaru ujrzałem rekina. Gdy chciałem się umyć, podpełzałem na rufę, brałem ze sobą miskę uwiązaną na sznurku oraz szampon, bo żeglarze powiedzieli mi, że w oceanicznej wodzie mydło się nie pieni. Na rufie, po obu stronach burty, są dwa wygodne uchwyty; siadałem więc przodem do steru i wkładałem

do wody odstraszacze rekinów. Czyli moje stopy. Pewnego razu, podczas mycia, około 20 metrów ode mnie, zobaczyłem płetwę rekina. Wtedy ostatecznie odeszła mi chęć na kąpiel w tym ciepłym i czystym basenie, jakim jest ocean.

Do wskoczenia zniechęcały mnie także wielkie, okołometrowe, drapieżne barakudy, które towarzyszyły mi niemal przez cały rejs. Było ich stale około 5-6 sztuk dyżurnych, a nocą nawet do 10, po obu stronach kajaka. To wielkie ryby: łeb, jak moje udo przed rejsem (schudłem w jego trakcie), drapieżne paszcze. Lecz wyglądały bardzo pięknie, bardzo szybko pływały, a ich ulubionym daniem były latające ryby, na które polowały.

Ryby najczęściej płynęły pod kadłubem kajaka, ale były bardzo ciekawskie. Gdy tylko przestawałem wiosłować i robiłem coś innego – płynęły obok, jakby zaglądając, z ciekawości, co się dzieje. Staralem się o nich pamiętać – zawsze to szkoda palca lub nogi.

Zdarzał się prysznic z deszczu. Pod koniec burz, gdy był słabszy wiatr, myłem się w kokpicie, po czym zużytą wodę wybierałem na zewnątrz. To był taki relaks – umycie się w słodkiej wodzie. Woda oceaniczna jest bardzo słona, w porównaniu z Bałtykiem – 4 razy bardziej. Skórę bardzo głęboko miałem nasyconą tą wodą. Czasem specjały, np. konfitury od żony, wyjadałem palcem ze słodka. Konfitury były bardzo słodkie, ale smak soli z





palców przebijał nawet cukier! Więc, przed konsumpcją, najpierw przez kilka minut wysysałem ją z palców, ale nawet to nie pomagało. Była bardzo głęboko! Całe ciało miałem nią nasycone.

Gdy się je i pije – trzeba też wydalac. Małe potrzeby mogłem załatwiać w kokpicie, do pojemnika, który miałem zawsze pod ręką. I – ciach, za burtę. W przypadku potrzeby większej rangi trzeba było ruszyć się na rufę kajaka. Oczywiście, cały czas byłem przywiązany uprzężą żeglarską, czyli pasem z szelkami i linką umocowaną do ucha przy ścianie z włazem do kabiny. Po dwóch tygodniach szelki nie wytrzymały i się rozlażyły, ale pas służył mi do końca wyprawy. Tyle, że musiałem go zaciskać wciąż mocniej i mocniej... Schudłem 14 kg, czyli kilogram na tydzień.

## TEŃSKNIĄC ZA NUDĄ

Im bliżej było wyjazdu, tym więcej miałem spraw do załatwienia. Już wtedy brakowało mi snu i wypoczynku. Łudziłem się, że gdy wsiądę do kajaka, to sobie odpocznę. Figa z makiem! Wciąż byłem w napięciu. Niedosyt snu pogłębił się jeszcze bardziej. Podczas poprzednich wypraw robiłem codziennie notatki. Teraz tak byłem zajęty, że zacząłem je prowadzić dopiero w osiemnastej dobie rejsu. Nie wzięłem ze sobą żadnej książki ani też urządzenia

do słuchania muzyki. I słusznie. Wciąż byłem zajęty. Na przykład – myśleniem. Zawsze musiałem dobrze przemyśleć, w jaki sposób mam to czy owo zrobić. Żeby nie popełnił błędu, żeby mnie, na przykład, fala nie zmyła. O nudzie nie było mowy!

## SPOTKANIA

Miałem ze sobą mapę pokazującą, którędy biegną trasy statków. Statki widywałem w dzień i w nocy. Raz zdarzyło się, że nie widziałem żadnego przez 2 tygodnie. Ale jakież to emocje, gdy po wielu dniach pustki nagle pojawia się taki kolos! Zdarzało się, że zmieniał kurs, z ciekawości. To były duże emocje, bo miałem wrażenie, że statek płynie prosto na mnie. Przepływali 200-300 metrów ode mnie, pozdrawialiśmy się. Nocą, obserwując niebo, widywałem na horyzoncie gwiazdy, które potem okazywały się światłami statku. Nie spotkałem żadnego jachtu.

## BESTIE I BESTYJKI

Przed rejssem niejedną straszyl mnie rekinami. W zasadzie, miałem z nimi spotkanie tylko kilka razy. Na przykład – płynąc w nocy, poczułem mocne uderzenie. Z tyłu, w rejonie steru. Za chwilę – drugie. Ooooo, to nie były takie sobie uderzenia

## BESTIA CZY BESTYJKA?

Ten osobnik ma w sobie coś z rekina. Lepiej nie sprawdzać.

fali. Cóż to?! Nie miałem – pode mną ze cztery kilometry głębi...

Miałem włączone światła nawigacyjne. W tej poświacie, ledwie – ledwie, dostrzegłem rekina. Płynął prosto na mnie, mógł mieć ze trzy metry. Po chwili płetwa zniknęła pod wodą, kilka metrów od burty. Przepłynię pode mną? Nie czekałem dłużej. Gdy tylko wyczułem, że jest z drugiej strony – łup wiosłem, tuż za łbem. Zdrowo mu przyłożyłem.

Problem z głową? Bynajmniej... Bestia znów nadpływała!

No, koniec żartów. Miałem go tuż przy burcie, może na pół metra. Sprężyłem się mocno i wiosłem (a mocne jest, zapewniam) znów w łeb z całej siły – jeden raz. I drugi. Dał spokój, odpłynął. Teraz myślę sobie, że to było... powitanie. On uderzył w kajak, no to ja podobnie. Wymieniliśmy uprzejmości. Takie rekinie zaczepki jeszcze się zdarzały, ale dialogu już nie podejmowałem. Kiedyś chciałem się jednak wykąpać na zewnątrz kajaka. Już prawie skoczyłem (uwiązany, rzecz jasna, na linie), gdy w ostatniej chwili ujrzałem znajomą płetwę.

– Ożż... kurczę, nie ma mowy, za kąpiel dziękuję.

## PRZYJACIELE, PRZEPRASZAM!

Już drugiego dnia przyłączyły się do mnie małe rybki w niebieskie paski. Płynęliśmy razem. Właściwie się zaprzyjaźniliśmy. Trochę więc wstyd mi teraz – bo ja tych przyjaciół zjadałem... Gdy wiatry pchały mnie w złą stronę, a ja musiałem pospać – to, żeby mnie nie wyniosły zbyt daleko – włączałem hamulce. Dryfkotwy. Woreczki na długiej linie. Wystawiałem je za burtę i czasem wpadała tam jakaś ryba. Kiedyś zrobiłem sobie zupełną rybnią. Innym razem – spróbowałem na surowo. Wnętrznosci też, a jakże! Baaardzo smakowało. Odtąd już jadłem ryby tylko na surowo, bardzo sobie to chwalać.

Ryby towarzyszyły mi bardzo różne. Filmowałem je pod wodą. A zdarzył się i żółw, płynął ze mną trochę. Stukał tą skorupą o dno czy może z boku. On też stał się gwiazdą w moim filmie.

Wspomniałem o barakudach. Długość: metr – półtora. Bardzo drapieżne. Piękne miałem spektakle, gdy taki potwór rozpędzał się, goniąc latającą rybę. Ryby latały po kilkadziesiąt metrów, a barakuda śmigła w wodzie za nimi. Gdy ryba spadała do wody, zadowolona, że już uciekła, to barakuda była tuż za nią. Więc te pościgi kończyły się często przykro dla latających ryb.

Już po dwóch dniach rejsu kadłub kajaka zaczął obrastać małżami. Rosły z każdym dniem, rósł więc i opór, jaki stawiały wodzie, co utrudniało mi płynięcie. Starałem się je usuwać, ale bardzo mocno się trzymały. Tylko paznokcie sobie połamałem.

U brzegów Ameryki ptaki wykorzystywały mój kajak do odpoczynku. Przylatywały wycieńczone, zwłaszcza po burzy, i odpoczywały, siedząc na rufie. Czasem i pięć ptaków jednocześnie gościłem na moim kajaku. Inna rzecz, że rano musiałem po nich sprzątać. Zdarzyło się, że po walce o dobre miejsce przegrany usiadł na moim palcu. Jednego znalazłem rano w kokpicie. Wtulił się w kąt, zmarznięty. Myślałem, że to ryba, bo czasem latające ryby rozbiły się o kajak. Trafiły też i we mnie: w czoło, w policzek, w pierś wiele razy. Na szczęście, nie dostałem w oko! Ptaszka ogrzałem w dłoniach, wysuszyłem piórka, postawiłem – niech leci. A on cyk – do kabiny skoczył. Schował się w kącie. Wyciągnąłem go jeszcze raz, a on znowu do kabiny. Więc dałem mu spokój, a jak odpoczął, to sam odleciał.

## KTO PRZYSZAWAŁ MAŁŻE?!

To nadzwyczajne, jak te stworzenia trzymają się swego przewoźnika.





## GWIAZDOR W AKCJI

Żółw wpadł tylko na chwilę, ale i on otrzymał swoją rolę w moim filmie.





0,5 węzła, czyli ok. 1 km na godzinę, przy możliwościach 3-4 km na godzinę. Długo zachodziłem w głowę, co też mnie tak znosi. Dopiero po kilku dniach z mapy fizycznej odczytałem, że pod mną są góry! Inne wiatry wieją w górach, a inne w dolinach, nad szczytami silniej. Na mapach dla statków nie były te góry ujęte, ale dla mnie to było istotne. Postanowiłem uciekać na południowy zachód. Udało mi się w zasadzie uciec od szczytów, później uciekałem od gór. To była przykra dla mnie niespodzianka, że ten prąd tak mnie trzymał. Przez to, że go zlekceważyłem – dostałem później w kość. Innych zaskoczeń nie było.

## NERWY

Przez cały rejs byłem w wielkim psychicznym napięciu. Musiałem walczyć z niesprzyjającymi wiatrami, znosiło mnie na zachód, a ja chciałem na południe. W końcu, 200 km od Fortalezy, która miała być portem docelowym, wiatry południowe zaczęły mnie spychać. Wybrzeże tam jest tak ukształtowane, że prądy płynące równoległe do niego wnoszą mnie w kierunku północno-zachodnim. Nie jestem cyborgiem, żeby wiosłować przez 24 godziny. Wiosłować można przez 8-12 godzin, taka jest efektywna porcja wysiłku... Siła wnoszenia mnie była tak duża, że bałem się, iż nie dopłynę do Brazylii, że znieś mnie do Gujany, a to byłoby kolejne tygodnie męki. Wykrzesywałem z siebie adrenalinę i resztki sił – no i dopłynąłem do lądu ogromnie wyczerpany.

## TĘSKNIĄC ZA...

Brakowało mi kontaktu z ludźmi. Nie jestem samotnikiem, a tu przez kilka miesięcy gadałem tylko z ptakami, rybami... Inna rzecz – to jedzenie. Miałem ze sobą takie specyficzne, liofilizowane, o kilku smakach, ale brakowało mi świeżych owoców. No i zwykłego chodzenia po lądzie...



## MOJA WINA

Przygotowywałem się do rejsu, korzystając z różnych wydawnictw, map. Wiedziałem, że będę miał do czynienia z przeciwnym prądem – równikowym prądem wstecznym, ale po prostu go zlekceważyłem. Przez to miałem wielkie kłopoty, przepływając nad podwodnym pasmem górskim Sierra Leone. W tym rejonie Atlantyk ma głębokość około 3-4 km. Walczę w prąd, płynę wiele godzin na południe, i okazuje się, że przepłynąłem 1-2 km, a czasem wręcz się cofnąłem. Płynąłem ok.

## ZIEMIA!

Wreszcie to osiągnąłem, mimo wielkich przeciwności. Byłem już bardzo wyczerpany, walczyłem o to, by wylądować jak najbliżej ustalonego miejsca. Niestety, w końcu zniosło mnie daleko od Fortalezy. Żeby nie znosiło mnie dalej aż do Gujany, złapałem się ziemi amerykańskiej. To było uczucie wielkiej ulgi, że jestem wreszcie na tym kontynencie. Ale krzyknąłem „Ziemia!” – dopiero, kiedy naprawdę ją ujrzałem (a nie tylko łuny



światel). Wtedy poczułem się jak odkrywca! Aż wreszcie stanąłem na niej! Nieużywane niemal nogi, o dziwo – działały!

## NIE MAM DOSYĆ!

Zawsze jestem ciekawy czegoś nowego. Przed podjęciem wyprawy przez Atlantyk, wierząc w swoje doświadczenie, byłem pewny, że jestem w stanie to zrobić. To było zupełnie coś nowego. Nowa trasa, nowe doznania. Płynę na nieznanym mi wody, w nieznanym warunkach i to mnie najbardziej pociąga. Do tej pory nie byłem w żadnej Ameryce, ani Południowej, ani Północnej, a pojawił się kajak, który to umożliwił. To była wyprawa międzykontynentalna, udało mi się przepłynąć między jednym kontynentem a drugim.

Już przed wypłynięciem planowałem, że jeśli się uda, a ja nie będę miał dosyć, to ruszę na północ. Jeszcze płynąc, już czyniłem przygotowania do następnego etapu. Teraz w planie mam przeróbki kajaka, bo mimo, że był dobry i bezpieczny, to okazało się, że... może być lepszy. Za kilka tygodni powinienem być gotowy do podjęcia dalszej drogi. Moim celem jest dopłynięcie do Waszyngtonu. Kiedy to będzie i jak? Jednym ciągiem czy odcinkami, i jakimi? Nie wiem, co jest jeszcze przede mną, ale chciałbym dopłynąć do Ameryki Północnej.

## POST SCRIPTUM

Pytają mnie, czy ta wyprawa, doświadczenie, zainspiruje innych kajakarzy w Polsce do podobnych, również ambitnych ekspedycji.

Otóż, chciałbym, aby ludzie nie podejmowali pochopnych decyzji. Ja do tej wyprawy przygoto-

wywałem się wiele lat. Od trzydziestu lat intensywnie pływam kajakami i to wszechstronne doświadczenie, także życiowe, było w takiej ekspedycji potrzebne. Nie radziłbym nikomu zbyt wcześnie wybierać się na podobną wyprawę. Moje przygotowanie nawigacyjne z szybownictwa i żeglarstwa było niezbędne, by dobrze interpretować różne prądy, warunki pogodowe, by mimo wielkich przeciwności poruszać się i zbliżać do celu. Wykorzystywałem różne metody i odkrywałem w sobie różne pokłady wiedzy. Pod koniec wyprawy z wiatrami radziłem sobie coraz lepiej, mimo że sił miałem coraz mniej.

Jeśli chodzi o inspirowanie innych: stawiajcie sobie ambitne cele, próbujcie je realizować, ale nabierajcie doświadczenia, korzystając z rad i pomocy innych. Jestem bardzo chętny do dzielenia się moim doświadczeniem.

Kilka lat temu podjąłem próbę przepłynięcia Atlantyku z Pawłem Napierałą, który później ją ponowił. Mam nadzieję spotkać się z nim, porozmawiać i odradzić dalsze próby. Życie jest naszym wielkim darem i należy je szanować... pamiętajcie o tym.

**Po 99 dniach, 7 godzinach, 20 minutach Aleksander Doba jako pierwszy Polak i trzeci człowiek na świecie samotnie przepłynął kajakiem Atlantyk, bez pomocy z zewnątrz ani korzystania z żagla (jak jego poprzednicy). Dokonał tego, korzystając wyłącznie z napędu wiosłowego, pomimo przeszkód, które stawiała przed nim natura w postaci przeciwnych prądów, silnych wiatrów i wysokich fal. Walcząc z ogromnym zmęczeniem, 2 lutego 2011 o godzinie 21:50 (czasu polskiego) Aleksander Doba dotarł do Ameryki Południowej, do wioski rybackiej Acarau w Brazylii, znajdującej się około 180 km na zachód od Fortalezy. ○**

O historii samotnych wypraw kajakiem przez Atlantyk czytaj: [www.samarama.wikidot.com/kajakiem-przez-atlantyk](http://www.samarama.wikidot.com/kajakiem-przez-atlantyk)

**HURRA, ZIEMIA!**  
Jesteś w Ameryce...





Najbardziej na świecie interesują mnie stadiony piłkarskie. Chyba szybciej znudzi mi się piłka nożna niż stadiony. Nie wiem z czego się to wzięło, ale mam tak, od kiedy pamiętam: w każdym miejscu, w którym się znajdę, najbardziej chcę iść na stadion. A jak nie ma stadionu, to może być boisko. Jak nie ma boiska, to niech będzie klepisko.

# STADION – MÓJ NARKOTYK

Czasem wystarczy rzut oka: wchodzę na trybunę, rozglądam się, jeśli można – schodzę na płytę boiska, wącham trawę, a jak nie ma trawy to i tak wącham to coś, czym pachnie każdy stadion. Bo one pachną: świeżością, emocją, obietnicą.

Nieważne gdzie i kiedy: tak samo pachniała dla mnie Legia, gdy jako dziecko i później przez lata chodziłem na Łazienkowską, tak samo, po latach, Wembley, a potem boiska we Florencji, Barcelonie, czy Madrycie. A może to nie stadion pachnie, tylko mnie się zdaje. W końcu – co może mieć wspólnego klepisko miejskie w Jubie albo wypalona słońcem murawa w Bamako ze stadionem narodowym w Bogocie, albo w Paryżu. Na pewno nie mają wiele wspólnego, ale mnie się wydają podobne w smaku. Nic na to nie poradzę.

Stadiony, jak to się mówi w telewizji, to współczesne świątynie. Nawiasem mówiąc, kościoły też lubię, ale nie zwiedzać. W kościołach najbardziej lubię uczestniczyć w nabożeństwach katolickich w niezrozumiałych dla mnie językach. Po mszy w Budapeszcie, gdzie jedynym osiągalnym dla mnie słowem było „Jezu”, myślałem, że lepiej być nie może, ale Afryka to jednak inna klasa. W europejskich mszach, przy katolickim wychowaniu i odrobinie umiejętności kojarzenia, liturgię można śledzić. Tymczasem np. w Eldoret, albo w Luandzie gubiłem się kompletnie w tych zaśpiewach, tańcach i bębnienu. Odpływa człowiek w dalekie rejony, ale są w liturgii punkty stałe, miejsca, gdzie każdy wyrutek i odstępcza może się schronić. Jak ktoś te miejsca rozpozna, to rozumie czym jest powszechność Kościoła.

Ale odbiegam od tematu, bo miało być o stadionach. Najchętniej je oglądam kie-



dy nikogo nie ma. Jak grają, to też jakoś wytrzymam, ale to całkiem inne doświadczenie. W Dakarze zostałem zaproszony na stadion narodowy, około północy. Grały drużyny dzielnicowe, mecze odbywały się przy jupiterach na 65-tysięcznym, nowoczesnym obiekcie. Na trybunach kilkanaście tysięcy ludzi dopingowało lokalne ekipy. Takich drużyn jest w Dakarze około 500, na mecze przychodzą całe dzielnice, grają orkiestry z bębnami, trąbkami i kilkudziesięcioosobowymi chórami. Te amatorskie drużyny trafiają na stadion na-

rodowy, bo senegalski związek piłkarski wynajmuje stadion za bezcen. Jak ma stać pusty, to lepiej niech ktoś gra i się bawi. W Dakarze w nocy i tak ludzie nie śpią. Może to jest pomysł na wykorzystanie naszych stadionów, jak już umilknie jazgot Euro 2012 i wszyscy będziemy się na gwałt zastanawiać co zrobić z tymi nikomu niepotrzebnymi mastodontami?

Doping w Afryce to oddzielna sprawa. W styczniu 2008 roku, w ćwierćfinale Pucharu Narodów Afryki w Akrze, Ghana grała z Nigerią. Mecze tych drużyn, to afry-



kańska „święta wojna”, coś jak u nas Anglia – Niemcy. Nigdy wcześniej i nigdy potem nie byłem na tak głośnych trybunach. To był nieustanny jazgot, wrzask, trąbienie i walenie. Nikt nie śpiewał – Afrykanie nie śpiewają piosenek stadionowych, raczej tworzą hałas – to dlatego wuwuzele w RPA zrobiły tak ogromną karierę.

Raz na stadionie się bałem. Nie kibiców, tylko agentów tajnej policji i nie na meczu, tylko na wiecu politycznym. W Harare trafiłem w ubiegłym roku na obchody 30-lecia odzyskania niepodległości przez Zimbabwe. Władze zwołyły na stadion narodowy tysiące ludzi z całego kraju, a na murawie odbywała się defilada wojskowa, pokazy akrobatyczne, a potem przemawiał Robert Mugabe. Oprócz znajomej, dzięki której trafiłem na stadion – byłem tam jedynym białym.

Ale nie to powodowało mój strach; dla własnego dobra warto przyjąć do wiadomości, że w Afryce biali stanowią jednak wyjątki. Bałem się, bo połowa, a może dwie trzecie obecnych na stadionie to byli agenci, a ja nie chciałem, by dowiedzieli się, że jestem dziennikarzem, bo to mogłoby spowodować różne niedobre dla mnie konsekwencje. Rozrywany sprzecznymi emocjami (np. bardzo, ale to bardzo podobała mi się trawa, była piękna i zielona mimo upału) dotrwałem do końca przemówienia, a potem wszyscy obejrzelśmy mecz piłkarski, bo dyktatorzy na całym świecie lubią przemawiać na stadionach narodowych przed meczami piłkarskimi.

Za nic nie wyjadę z miasta bez obejrzenia stadionu. Kiedyś we Florencji tak bardzo chciałem zobaczyć mecz Fiorentiny z Juventusem, że pomyliłem daty i przyjechałem na stadion o dzień za wcześnie. Nie szkodzi, obejrzałem sobie trybuny z zewnątrz, przez dziurę zobaczyłem kawałek murawy, a następnego dnia zapłaciłem konikowi jakąś absurdalną sumę, żeby tylko wejść na mecz. Jak mógłbym nie wejść, przecież to mogła być moja ostatnia wizyta we Florencji.

Jedynie czego nie znoszę to wycieczki stadionowe, obchody w grupie i inne takie brednie. Kiedyś niechcący trafiłem na coś takiego jeszcze na starym Wembley w Londynie. Każdy uczestnik wycieczki wchodził po schodach na trybunę honorową i dostawał do potrzymania atrapę Pucharu Anglii. Potem odwracał się do tłumów, z głośnika szedł ryk widowni, a automat robił zdjęcie. Czuję się jak bliźnierca i jeszcze jak ostatni matoł. Stadion ma sens tylko wtedy, kiedy jest pusty, albo pełny. ○

# JEDYNY SŁUSZNY KURS PRENUMERATA!

## Poznaj Świat

ZAMÓWIENIA PRZYJMUJEMY CAŁY ROK:

mailem: [prenumerata@poznaj-swiat.pl](mailto:prenumerata@poznaj-swiat.pl)

na stronie: [www.poznaj-swiat.pl](http://www.poznaj-swiat.pl)

telefonicznie: 694 432 088



CENA PROMOCYJNA

# 99 zł

12 NUMERÓW W CENIE 10





# Tańce, hulanki, swawole!



Karnawał to na całym świecie tradycyjny czas rozrywek, tańców, bali, ulicznych wybryków, biesiad, a nawet obżarstwa. Jego początek to święto Trzech Króli, choć – nie wszędzie...

W Niemczech i krajach niemieckojęzycznych czas uciech zaczyna się jedenastego listopada (11.11) o godzinie 11:11 – to tzw. piąta pora roku, podczas której uaktywniają się liczne karnawałowe stowarzyszenia. Organizuje się wiele imprez obfitujących w jadło i napitki. Nie brak też ulicznych parad przebierańców i wielkich kukieł. Im bliżej końca karnawału, tym korowody bogatsze. Najbardziej znane odbywają się w Düsseldorfie, Bonn, Kolonii i Moguncji. Z kolei, Fastelavn – nordyckie święto obchodzone siedem tygodni przed Wielkanocą – najokazalej jest świętowane w Danii. Dużo się

jada i pija, wracają też stare pogańskie obyczaje i zabawy, np. „kot w beczce”. W zamierzonych czasach polegała ona na zawieszaniu na drzewie beczki z żywym czarnym kotem i rozbijaniu jej kijami. Dziś beczki, wypełnione łakociami dla dzieci, są tylko ozdobione wizerunkiem kota. Podczas Fastelavn piecze się słodkie bułeczki nadziewane kremem lub pokryte lukrem, które są tak ważnym elementem święta, jak choinka na Boże Narodzenie.

Także Szwajcarzy podczas karnawału udowadniają, że nie są ponurakami. W Bazylei zabawa trwa trzy dni, a jej huczne zakończenie





odbywa się tydzień po Popielcu. To efekt religijnej reformacji i kalendarzowych pomyłek. Hulanki zaczyna Morgenstreich, czyli „poranny żart”: w rytm muzyki werbli i fletów barwny korowód rusza na ulice Starego Miasta. Zabawy w restauracjach i barach trwają niemal na okrągło przez całą dobę.

Belgijski karnawał w Binche doczekał się wpisu na listę dziedzictwa kulturowego UNESCO. Od XVI wieku na zakończenie czasu uciech ulicami miasta paraduje sześć setek jednakowych jegomości zwanych „gilles”: odzianych w takie same surduty, czapki, maski z wyrysowanymi okularami i wąsami. Tłum przebierańców zbiera się w ostatki na Grand Place: trzymając się za ręce, tupią chodakami do rytmu wybijanego przez doboszy. Potem ruszają w paradzie. Każdy z nich niesie kosz z pomarańczami, którymi obrzucają gapiów.

A nad Wisłą...? My także pozwalamy sobie na odrobinę szaleństwa. Szczególnie ostatki to czas balów i zabaw dorównujących sylwestrowym. Dawniej w zapusty urządzone były kuligi, maskarady, biesiady z tańcami. Dziś w karnawale chodzi się na imprezy, gdzie królują tańce latynoamerykańskie.



## Na Kanarach łapią rybę

**N**a Wyspach Kanaryjskich karnawał jest niemal tak hucznie obchodzony, jak w Brazylii. Przez cały rok trwa przygotowywanie głównych atrakcji. Setki korowodów, orkiestry, zabawy taneczne, przebieranki – to karnawałowa codzienność. Kulminacją jest „pogrzeb sardynki”, który kończy karnawał w Popielec: tego dnia wielki korowód przebierańców topi ogromną kukłę ryby, będącą zapowiedzią okresu postu. Najhuczniejsze imprezy odbywają się w Santa Cruz i Las Palmas.



## Kwietna parada

Francuskie Lazurowe Wybrzeże przez cały czas karnawału jest miejscem nieustannych zabaw. W tanecznych, ulicznych imprezach uczestniczą tysiące ludzi. Szczególne atrakcje oferuje Nicea, słynna w tym czasie z kwiatowych parad, podczas których odbywają się... kwietne bitwy. Publiczność obficie zaopatrzona w świeże gałązki mimozy obrzuca nimi przejeżdżających na platformach przebierańców, ci rewnują się tym samym.



## Wystarczy kolor

**C**horwackie miasto Rijeka także przyciąga karnawałowym przepychem i przebierańcami. W ostatnią niedzielę karnawału na ulice wylega tłum barwnych postaci – parada krążąca po całym mieście trwa wiele godzin, witają ją otwarte do późnej nocy bary, winiarnie, restauracje i kluby. By wziąć w niej udział, wystarczy zadbać o kolorowy kostium.



## Na Litwie jedzą

**L**itewską tradycją karnawałową jest obfite jedzenie! 12 posiłków dziennie gwarantuje pomyślny rok. Na stołach – tradycyjne dania: bliny, potrawy z grochu, fasoli i wieprzowiny.





# Titanic w Ogrodach Tivoli

Legenda najślynniejszej katastrofy morskiego statku pasażerskiego ciągle wzbudza duże emocje. Aby ją dokładnie poznać, wystarczy wycieczka do Kopenhagi.

W stolicy Danii zagości od kwietnia wystawa „Titanic – The Exhibition“. To fascynująca opowieść o statku, katastrofie i wraku, ale także historia kilkorga pasażerów, którzy zginęli podczas pierwszego i ostatniego rejsu luksusowego liniowca.

Wystawę będzie można oglądać w zamku Hansa Christiana Andersena w Tivoli. Otwarta zostanie 10 kwietnia – w 99. rocznicę wypłynięcia Titanica z Southampton. Organizatorzy zapewniają, że podczas zwiedzania będzie można niemal przenieść się na transatlantyk

i przeżywać wydarzenia poprzedzające zatonięcie statku, zobaczyć jego wyposażenie, listy pisane przez podróżnych, przedmioty, które po nich pozostały.

Na pokładzie liniowca podróżowało wielu Skandynawów. W ponad dwuosobowej grupie znalazło się czternastu Duńczyków – spośród których uratowały się zaledwie dwie osoby. Jedną z nich była dziewiętnastoletnia wówczas Carla Jansen z Fonii, która za podróż na superliniowcu zapłaciła 7 funtów. Można domniemywać, że jej życie naznaczone było katastrofą, bowiem kiedy zmarła, w 1980 roku, zgodnie ze swoją wolą pochowana została w nocnej koszuli, w której obudziła się feralnej nocy z 14 na 15 kwietnia 1914 roku.

Między innymi tej historii będzie można posłuchać w czasie wystawy, która określana jest jako supernowoczesna. Odwiedzający dostaną odtwarzacz MP3, który poprowadzi ich przez ekspozycję. W wielu miejscach wystawy zainstalowano prezentacje multimedialne, które odtwarzają rzeczywistość z pokładu liniowca.

Wystawę, przygotowaną przez Hiszpanów, obejrzało już ponad 1,25 miliona gości w Hiszpanii, Niemczech i Szwecji. W tym roku ma być największym wydarzeniem Ogródów Tivoli – parku rozrywki położonego w centrum Kopenhagi.

Szczegóły: [www.tivoli.dk](http://www.tivoli.dk)



## Żywioty w Krakowie

Na osmą edycję Festiwalu Podróżników, 11-13 marca, do Nowohuckiego Centrum Kultury w Krakowie, zjadą polscy podróżnicy, odkrywcy i eksploratorzy. Gościem specjalnym imprezy będzie Janek Mela. Jako najbardziej oczekiwany pokaz organizatorzy rekomendują „Długi Marsz Do Wolności”. To relacja z pieszej wyprawy z Jakucka do Kalkuty śladami polskiego uciekiniera z sowieckiego łagru – Witolda Głińskiego. Podczas festiwalu, oprócz pokazów, odbywać się będą tematyczne warsztaty podróżnicze, dodatkowe projekcje filmowe, wystawy zdjęć i giełda podróżnicza. Szczegóły: [zzywioty.pl](http://zzywioty.pl)

## Dzieje się

Kopenhaga to najlepszy cel podróży. W 2011 roku według rankingu organizacji European Consumers Choise. Dalej o cztery punkty znalazła się Barcelona, potem Rzym i Madryt. Na ten prymat duńska stolica zasłużyła sobie między innymi organizowanymi tutaj licznymi międzynarodowymi imprezami o dużym medialnym rozgłosie.

## Dobry początek

Pierwsza edycja targów International Travel Market Warsaw w końcu stycznia br. przyciągnęła prawie 5 tysięcy odwiedzających. Czekają na nich z propozycjami 107 wystawców z 23 państw z Afryki, Ameryki Środkowej, Azji oraz Europy. W trzydniowej imprezie uczestniczyły największe biura podróży, touroperatorzy, organizacje i prywatne firmy z branży turystycznej. Ich całoroczne oferty, a także specjalne propozycje first i last minute odgrywają coraz większą rolę na rynku.

# Szlakiem wina

W Polsce wino miało swoich amatorów niemal od zawsze. Od czasów piastowskich znane są tradycyjne szlaki, którymi sprowadzano wina od naszych południowych sąsiadów. Przez wieki węgierskie wina „płynęły strumieniami” przez przełęcz karpackie, dzięki czemu bogaciły się okoliczne miasta. Dzisiaj winne trakty to atrakcyjne trasy turystyczne. Tradycyjnie rozróżniamy dwa szlaki: wina białego i czerwonego. Biały prowadzi od winnic południowego Podkarpacia do słowackiego zamku Brekov i położonych wokół winnic pod Winną Skałą. Szlak prowadzi m.in. przez Jasło, Krosno, Iwonicz Zdrój, Sanok do słowackiego Humene – każdy z przystanków na tej trasie to warta uwagi karta historii związanej nie tylko z winem. Nie mniej ciekawie jest na szlaku wina czerwonego, czyli od dawnych węgierskich regionów Egerskiego i Matra, przez wschodnią Słowację do Polski. Tu po drodze mijamy m.in. Kosice i Presov,



gdzie mieści się Muzeum Win. Przełęcz Dukielska wyprowadza szlak w Beskid Niski. Trasa kończy się w Rzeszowie. Nie sposób wliczyć, ile zabytków, winnic i wspaniałych krajobrazów spotkamy po drodze i ile jest tutaj, wartych odwiedzin, przytulnych winiarni. Szczegóły podróży szlakami winnymi: [www.podkarpackie.travel](http://www.podkarpackie.travel) [www.prot.rzeszow.pl](http://www.prot.rzeszow.pl)

## Karpacka Troja znów zaprasza



Na Winnym Szlaku znajduje się archeologiczny skansen w Trzcinicy k. Jasła, zwany Karpacką Troją, niestety ubiegłym roku zalany przez powódź. Pod wodą znalazł się cały 8-hektarowy teren z wałami obronnymi, zrekonstruowa-

nymi chatami i bramami wejściowymi. Po kilku miesiącach prac Karpacka Troja odzyskuje swój dawny wygląd. Brakuje jeszcze wyposażenia, które bezpowrotnie zniszczyła powódź, ale trwają już przygotowania do otwarcia obiektu.

# Podróż (nie)zaplanowana

**Zapierające dech w piersiach krajobrazy, inspirujące znajomości, intensywne smaki lokalnych potraw – to atrakcje, których najczęściej spodziewamy się, planując kolejny zagraniczny wyjazd. Nie wszystko jednak jesteśmy w stanie przewidzieć.**

Przezorny zawsze ubezpieczony. Choć powiedzenie to znane jest niemal każdemu, nie każdy o nim pamięta. Podczas planowania urlopu nie zapominajmy o zapewnieniu ochrony sobie i najbliższemu na wypadek niespodziewanych zwrotów akcji. A nikt nie zagwarantuje nam jej lepiej niż ubezpieczyciel.



Największą uwagę przykładamy do bezpieczeństwa przedmiotów wartościowych, takich jak elektronika czy biżuteria, z portfelem na czele, jednak łupem złodziei pada także bagaż. Wyjściem bez strat z takiej sytuacji jest wykupienie ubezpieczenia, które obejmuje kradzież zawartości naszego bagażu. Możemy ubezpieczyć się także na wypadek opóźnienia w jego dostarczeniu i ponoszonych w związku z tym kosztów. Taka alternatywa znacznie złagodzi przykre konsekwencje i pozwoli zapomnieć o przykrych wspomnieniach z urlopu.

Może się też zdarzyć, że zgubimy portfel czy dokumenty. W konsekwencji - zależnie od tego, gdzie przebywamy - możemy mieć mniejsze bądź większe problemy z powrotem do kraju. Gdy będziemy objęci odpowiednią polisą - ubezpieczyciel zapewni nam pomoc przy wyrobieniu nowych dokumentów. Jeśli stracimy portfel, ubezpieczyciel pokryje koszty podróży i pobytu – taką opcję zawiera ubezpieczenie Hestia Podróże, oferowane przez sopocką Ergo Hestię. Na pomoc możemy liczyć również w sytuacji, gdy podczas zwiedzania ulegniemy wypadkowi i nie będziemy mogli samodzielnie prowadzić pojazdu – w tym przypadku ochrona ubezpieczeniowa zapewnia nam wyżywienie, tymczasowe zakwaterowanie i pomoc kierowcy, dzięki któremu będziemy mogli wrócić do kraju. Jeśli leczenie wymaga dłuższego pobytu w miejscu urlopu, przy wykupieniu odpowiedniego pakietu pokryte zostaną także koszty pobytu osoby towarzyszącej.

Jeśli zmuszeni będziemy przerwać wypoczynek z powodu śmierci bliskiej osoby czy pożaru w naszym mieszkaniu - również możemy liczyć na pomoc ubezpieczyciela.

## Ile to kosztuje?

Wyliczenia dla oferty Hestia Podróże dla jednej dorosłej osoby na okres 14 dni\*:

Holiday Basic	Holiday Charter	Holiday Charter Plus
35 zł	71 zł	134 zł

\* składki nie obejmują rozszerzenia zakresu o np. sporty wysokiego ryzyka, pracę fizyczną, wyczynowe uprawienia sportu lub choroby przewlekłe.





# NAVIGATOR



Nasze rekomendacje na krótkie wypady



# GNIAZDO SURREALIZMU

To jedyne na świecie muzeum, które Salvador Dali stworzył za swojego życia. Ale on robił rzeczy niekonwencjonalne. Urodził się w pięknym katalońskim miasteczku Figueres i właśnie tam, w gmachu dawnego teatru, stworzył niepowtarzalny przybytek sztuki: muzeum surrealizmu. Do Teatru-Muzeum Salvadora Dali trudno nie trafić – drogowskazy stoją niemal wszędzie. Zresztą i sam teatr rzuca się w oczy niezwykłą elewacją i otoczeniem – także zaprojektowanymi przez Dalego. Muzeum powstało w 1974 roku, w gmachu byłego teatru miejskiego. To tutaj, w 1919 roku, odbyła się pierwsza wystawa dzieł artysty. Szczególną atrakcją muzeum jest kolekcja biżuterii autorstwa najslynniejszego surrealisty.



42° 26'N 02° 95'E

Figueres, Pujada Castell 28, Hiszpania  
Przy autostradzie E15 ok. 20 km od  
granicy z Francją w kierunku Barcelony  
[www.salvador-dali.org](http://www.salvador-dali.org)







## Stopklatka historii

Lombardia przyciąga turystów niezwykłymi miejscami. Ot, miasteczko Cornello. Właściwie nie zmieniło się od kilkuset lat. Przytulone do gór, z sielankowym widokiem na rzekę Brembo, jest wspaniałym przykładem średniowiecznej zabudowy i architektury. W dalekiej przeszłości stanowiło ruchliwe centrum kupieckie, ale kiedy szlaki handlowe zaczęły omijać miasto, czas stanął tutaj w miejscu. Dziś Cornello liczy zaledwie kilkuset mieszkańców, którzy chętnie witają gości, zapraszając do skosztowania dań wspaniałej regionalnej kuchni. Warte odwiedzin jest miejscowe Muzeum Poczty stworzone przez rodzinę Tasso – najznamienitszy tutejszy ród.



45°89'N; 09°65'E

Lombardia, 60 km na północ od Bergamo

[www.wlochy.pl/lombardia.xml](http://www.wlochy.pl/lombardia.xml)

[www.museodeitasso.com](http://www.museodeitasso.com)

## Karczma z klimatem

Dawne gospody zapewniały podróżnym odpoczynek i jadło, a przy okazji wieści ze świata i godziwą rozrywkę. Całkiem niedaleko, w północnych Czechach, znajdziemy karczmę, gdzie jest tak jak przed wiekami. W Detenicach, niedaleko Mlada Boleslav, gdzie dotychczas na turystów czekał pałacyk i browar, od niedawna zaprasza ich także niezwykła gospoda – taka jak w średniowieczu – jest kamienna podłoga, sękaty stoły i ławy, dymiące paleniska, a nad nimi ruszt z mięsiwem. Mrok rozświetlają kopcące świece, a u powały wiszą czarodziejskie akcesoria. Nic dziwnego, że trafią się tu i kuglarze, i dziewczki tańczące na stołach, i kapela. A jak zajrzy tu jakaś wiedźma – pewnikiem sąd się nad nią odbędzie i jędrę do klatki się zamknie. A wszystko odbywa się przy aromacie skwierczących nad ogniem pieczeni, które spożywa się bez sztućców. I klimat karczmy, i menu – wspaniałe.



50°36' N; 15°17' W

Z drogi E65 z Pragi do Liberca  
ok. 25 km na wschód od Mlada  
Boleslav w kierunku Hradec Kralove.  
[www.detenice.cz](http://www.detenice.cz)



## Kuchenny raj

W marcu miłośników kwiatów zaprasza Keukenhof, wspaniały ogród, jedna z wizytówek Holandii. Trzeba się spieszyć, żeby obejrzeć ten rajski zakątek – czynny zaledwie przez 8 tygodni. Park zajmuje 32 hektary. Alejki prowadzą wśród starych drzew, sadzawek, fontann, rzeźb będących dziełami sztuki nowoczesnej. Nade wszystko jednak warte podziwu są tutaj dywany kwiatów – przy ich tworzeniu zuży-

wa się ponad 7 milionów cebulek tulipanów, hiacyntów, narcyzów, żonkili i innych kwiatów. Jest tu też specjalna trasa edukacyjna dla dzieci. Park założony w 1949 roku, stanowi część dawnej posiadłości księżnej Jakoby z Bawarii, która spędzała czas na polowaniach i przejażdżkach. Tutaj też rosły zioła dla zamkowej kuchni i stąd, można by podejrzewać, wywodzi się nazwa parku – Keukenhof, czyli ogród kuchenny.



52°26' N 04°54' W

Stationsweg 166 A, Lisse  
Ok. 20 km na pld.-zach.  
od Amsterdamu  
[www.keukenhof.nl](http://www.keukenhof.nl)



## Pancerna potęga

Nieopodal Moskwy znajduje się muzeum broni pancernej o niespotykanych nigdzie indziej zbiorach. Czołgi i inne podobne maszyny odegrały ogromną rolę w historii ZSRR. Nic więc dziwnego, że Rosjanie z dużym przywiązaniem traktują to miejsce. Zebrano tu liczne eksponaty: są w Kubince najbardziej znane maszyny także z czasów I i II wojny światowej oraz z lat późniejszych. W muzeum zobaczymy także prototypy pojazdów i uzbrojenia, które nie stały się wyposażeniem żadnej armii. Ekspozycja obejmuje ponad 200 czołgów.



55°53' N 36°42' W

Wojenno-Historyczne Muzeum  
Pojazdów Pancernych,  
Minskoje Szosse, 64 km  
na zachód od Moskwy,  
przy drodze nr M1  
[www.tankmuseum.ru](http://www.tankmuseum.ru)



## Przenikanie religii

W obrębie lublińskiego zamku znajduje się jeden z niezwykle cennych zabytków, ważnych dla dziedzictwa europejskiego – Kaplica Trójcy Świętej, zwana często Kaplicą Zamkową. To prawdziwy unikat średniowiecznej sztuki sakralnej, który udowadnia, że przed wiekami możliwe było współistnienie religii i kultur Wschodu i Zachodu. Sama kaplica pochodzi z czasów Kazimierza Wielkiego. W wieku XV, dzięki królewskim funduszom Władysława Jagiełły, gotycką świątynię ozdobiono wspaniałymi malowidłami bizantyńsko-ruskimi. Prace zakończono 10 sierpnia 1418 roku, o czym informuje napis fundacyjny na jednym z łuków. Freski, przez wieki przykryte grubą warstwą tynków i malowideł, ponownie ujrzały światło dzienne w roku 1889. Ich konserwacja i sukcesywne udostępnianie trwało, z przerwami, do 1997 roku.



21°25' N 22°57' E

Lublin, ul. Zamkowa 9  
[www.zamek-lublin.pl](http://www.zamek-lublin.pl)



## Tu byłem. Tony Halik



Kiedy zwiedza się toruńskie stare miasto, łatwo przegapić stary spichlerz z tabliczką „Muzeum Okręgowe”. A przecież każdy miłośnik podróży powinien odwiedzić to miejsce! Mieści się tu bowiem Muzeum Podróżników im. Tony’ego Halika, które powstało dzięki wielkiemu zamiłowaniu do poznawania świata samego patrona i jego żony – Elżbiety Dzikowskiej. W muzeum stałą atrakcją jest ekspozycja „Tony Halik. Urodzony dla przygody” – którą tworzą związane z podróżnikiem pamiątki przekazane przez Elżbietę Dzikowską. W muzeum zawsze można trafić na ciekawe wystawy okresowe prezentujące: fotograficzny plon z wojaży współczesnych podróżników polskich w odległe zakątki świata, bądź też rzemiosło artystyczne, ozdoby i kulturę egzotycznych ludów.



Muzeum Podróżników im. Tony’ego Halika  
– Oddział Muzeum Okręgowego w Toruniu  
ul. Franciszkańska 11, Toruń  
[www.muzeum.torun.pl](http://www.muzeum.torun.pl)

## Czarny Pstrąg

Rzadko mówi się o Śląsku jako o terenie atrakcyjnym turystycznie. Tymczasem w Tarnowskich Górach, w 200-hektarowym Parku Repeckim, wśród zieleni i starych drzew, znajdziemy nie lada atrakcję: stare szyby górnicze, udostępnione turystom. Zwiedzanie 600-metrowej sztolni „Czarnego Pstrąga” (niegdyś „Głębokiej Sztolni Fryderyka”) odbywa się łodziami: od szybu „Sylwester” (30 m głębokości) do szybu „Ewa” (20 m głębokości). Oba szyby pochodzą z końca XIX wieku – prowadzi do nich rotunda, typowy obiekt dla budownictwa górniczego tego okresu. Szerokość chodnika sztolniowego waha się od 1,20 do 2,50 metra, wysokość: od 2,20 do 4,00 m, a głębokość podziemnego zbiornika: od 0,70 do 1,00 m. Kiedy płynie się sztolnią, można przy odrobinie szczęścia dostrzec w wodzie pstrągi, które w półmroku wydają się być zupełnie czarne – i tak rozwikłaliśmy tajemnicę nazwy starego szybu...



ul. Jana Śniadeckiego 1,  
Tarnowskie Góry,  
5 km od centrum miasta,  
[www.tarnowskiegory.one.pl](http://www.tarnowskiegory.one.pl)



## Anglia Kornwalia

### Król Artur był stąd

Daleko na zachodzie wyspy, za siedmioma górami... No, może nie tak, ale równie bańniowo. Rzeczywiście – na kornwalijskim wybrzeżu Morza Celtyckiego, na skalistym wzgórzu stoi piękny, choć surowy zamek Tintagel, od wieków czujnie strzegąc brzegu przed morskimi rabusiami. Tu ponoć urodził się legendarny król Artur. Wśród dobrze zachowanych ruin łatwo poddać się atmosferze staroceltyckich opowieści. Nieopodal zamczyska zwiedzić można Groty Merlin, czarodzieja i doradcy dzielnego króla. Zamek powstał na początku XIII wieku. Uwaga, prowadzą do niego strome schody. Szczytem klifu biegnie z twierdzy ścieżka do zabytkowego kościoła z czasów normandzkich i saskich.



50°66' N 04°75' E

Ok. 15 km na pń.-zach.  
od drogi A39; skręt  
w miejscowości Camelford  
[www.tintagelweb.co.uk](http://www.tintagelweb.co.uk)



## Portugalia Algarve Olhao

### Europejski kameleon

Portugalski region Algarve coraz bardziej przypomina riwierę – pełno tu hoteli, pensjonatów i ośrodków rekreacyjnych. Ale jest tu też wiele miejsc, które kuszą nieskażoną przyrodą. Warto więc odwiedzić Park Narodowy Ria Formosa, położony pomiędzy Ancano i Manta Rota, o powierzchni blisko 19 tysięcy hektarów. Większą jego część zajmuje laguna Ria Formosa, wraz z wyspami, kanałami i bagnami. Centrum edukacji ekologicznej w mieście Olhao służy informacją na temat unikalnej przyrody parku. Potem przy odrobinie szczęścia można zobaczyć stado flamingów, wielkie morskie żółwie, rzadkie w Europie kameleony. Można podziwiać wiele gatunków ryb, małż i ptaków, których jest szczególnie dużo podczas wiosennych i jesiennych przelotów.



37°02'N 07°83'E

Park Narodowy Ria Formosa  
z siedzibą w Olhão, ok. 10 km  
na zachód od Faro drogą N125  
[www.visitportugal.com](http://www.visitportugal.com)



AMERYKA PÓLNOČNA | Meksyk

# Taco, salsa, świerszcze w ustach **A JA PŁONĘ**

Tekst, zdjęcia i rysunki:  
**Beata Pawlikowska**



## **SZCZYPTA MAGII**

Meksykańska  
kuchnia to moc  
przypraw. Czasem  
niedu czarów...



Wstałam o świcie, kiedy niebo  
kapato się w błękitnej świetlistości.  
Uradowane ptaki skakały po gałęziach  
i śpiewały z cętych sit. Miałam  
ochotę przytączyć się do nich w tej  
samej nucie, układając piosenkę na  
cześć nowego dnia, ale uśmiechałam  
się tylko i śpiewałam w sercu.



Meksykańskie świąty pachną kolendrą i pomarańczami. Na targowisku klaszczą Indianki. W powietrzu unoszą się smugi dymu znad garnków z kukurydzianym napojem zwanym atole.

Usiadłam na drewnianej ławce. Podczas podróży najbardziej lubię jeść w takich właśnie miejscach, gdzie widok osoby o jasnej skórze jest witany zaskoczeniem. I sympatią, bo jeśli biała dziewczyna samotnie przybywa w tak odległe i nieturystyczne miejsce, to raczej nie ma złych zamiarów.

– *Buenos días*<sup>1</sup> – powiedziałam do czarnego warkocza na plecach Indianki.

– *Buenas*<sup>2</sup> – odrzekła, odwracając się szybko.

Musiła usłyszeć w moim głosie coś egzotycznego. Spojrzała i znieruchomiła, niepewna czy jestem prawdziwa, czy też może wytworem jej umysłu. W białych od mąki dłoniach trzymała kulkę ciasta, którą najpierw szybkimi ruchami rozciągała, ale potem uklepywała na placek. Tak robiło się tortille w czasach Azteków i tak samo robi się je dziś: z mąki kukurydzianej, z dodatkiem wody i wapna. Na targowiskach można kupić białe wapienne kamienie, które dorzuca się do gotowania kukurydzy i dzięki temu jej wartości odżywcze stają się łatwiej przyswajalne dla organizmu ludzkiego, czyli każda rzecz z takiej kukurydzy zrobiona będzie bardziej pożywna.

– *Hi, hi, hi* – Indianka zasłoniła umączoną ręką usta.

Pytanie o to, czy robi tortille, musiało zabrzmieć komicznie. A cóż innego miałyby robić z kulki kukurydzianego ciasta o świcie? Obok zresztą stała rozgrzana blacha, na której piekły się placki.



<sup>1</sup> Buenos días – (hiszp.) dzień dobry, używane do dwunastej w południe.

<sup>2</sup> Buenas – dzień dobry w powszechnie używanej wersji skróconej.



Doña Alicia w bramie  
plekta na posrekanii  
pyszne placki z dowolnym  
nadzieniem - od szpinaku  
i pieczarek aż po  
dicharrón, czyli świńską skórę

To najbardziej niezbędna rzecz na każdym meksykańskim stole. Do wszystkich dań podaje się mały koszyk, gdzie w czystym kawałku płótna leżą zawinięte gorące tortille. Cokolwiek jesz – jajecznice, stek, sałatę czy zupę – na pewno dostaniesz do kompletu świeże tortille. Są lekkie i cienkie, można je składać albo związać w rulon – i pasują do wszystkiego. Mogą być białe albo szare – zależnie od tego, z jakiego gatunku kukurydzy zostały zrobione, bo w Ameryce Łacińskiej kukurydza może mieć wiele barw – od białej, przez żółtą i pomarańczową, aż po czerwoną, brązową i czarną. Placki zrobione z czarnej kukurydzy mają kolor asfaltu.

Jedna tortilla to kilka szybkich ruchów. Patrzyłam jak Indianka odrywa palcami kawałek ciasta, zagniata kulkę, rozciąga ją parę razy, a potem spłaszcza i uklepuje między dłońmi. I rzuca na blachę. I następny kawałek, kulka, rozciąganie, klepanie, placek. Tak samo jak pięćset

### TORTILLA POWSZEDNIA

**Cokolwiek jesz – na pewno dostaniesz do kompletu świeże tortille. Są lekkie i cienkie, można je składać albo związać w rulon – i pasują do wszystkiego.**



Papryka habanero -  
żeby neutralizować  
jedną kroplę soku tej  
papryki, potrzeba  
milioną kropli wody

i tysiąc lat temu. I napój z kukurydzy też pachniał aztecką wiecznością. Poruszyłam nosem.

– *Atole* – odpowiedziała Indianka.

– *Wiem* – odrzekłam – *i chciałabym się napić.*

Uśmiechnęłam się do bosej Meksykanki. Umączoną ręką sięgnęła po niezbyt przezroczystą szklankę i naląła do niej parującego napoju. Był żółty, gęsty i tak słodki, że zęby mi ścierpły.

– *Dobre?* – domyśliła się Indianka

– *Pyszne* – zgodziłam się, myśląc jednocześnie, że jeśli wypiję całą szklankę tego syropu, to chyba do końca życia nie tknę już niczego słodkiego.

Aztekowie nie znali w ogóle cukru. Zamiast niego używali miodu z dodatkiem wanilii. Ale ich śniadanie wyglądało identycznie jak dzisiaj. Zerknęłam na rodzinę przy sąsiednim stole. Wszyscy zajadali się tortillami z fasolą i mięsem, które – gdy są złożone na pół – zmieniają nazwę na taco. Na środku stołu stała gliniana miseczka z salsą, czyli przyprawą zrobioną ze świeżych, drobno posiekanych pomidorów z dodatkiem kolendry, cebuli i ostrej papryki. Do środka taco nakłada się trochę salsy i czeka na ogień, który po chwili wybuchnie w ustach.

Meksykańska papryka nie zna litości. Jedną z najostrzejszych na świecie jest chile habanero. Żeby zneutralizować jedną kroplę soku tej papryki potrzeba jednego miliona kropli wody. Wygląda całkiem niewinnie – mała, o lekko trójkątnym kształcie, żółta, pomarańczowa albo czerwona.

Ostrość papryki mierzy się za pomocą skali ostrości ułożonej przez amerykańskiego chemika Wilbura Scoville'a. Różne gatunki papryki mają różną moc – w zależności od tego, ile zawierają kapsaicyny, czyli substancji wywołującej uczucie palenia

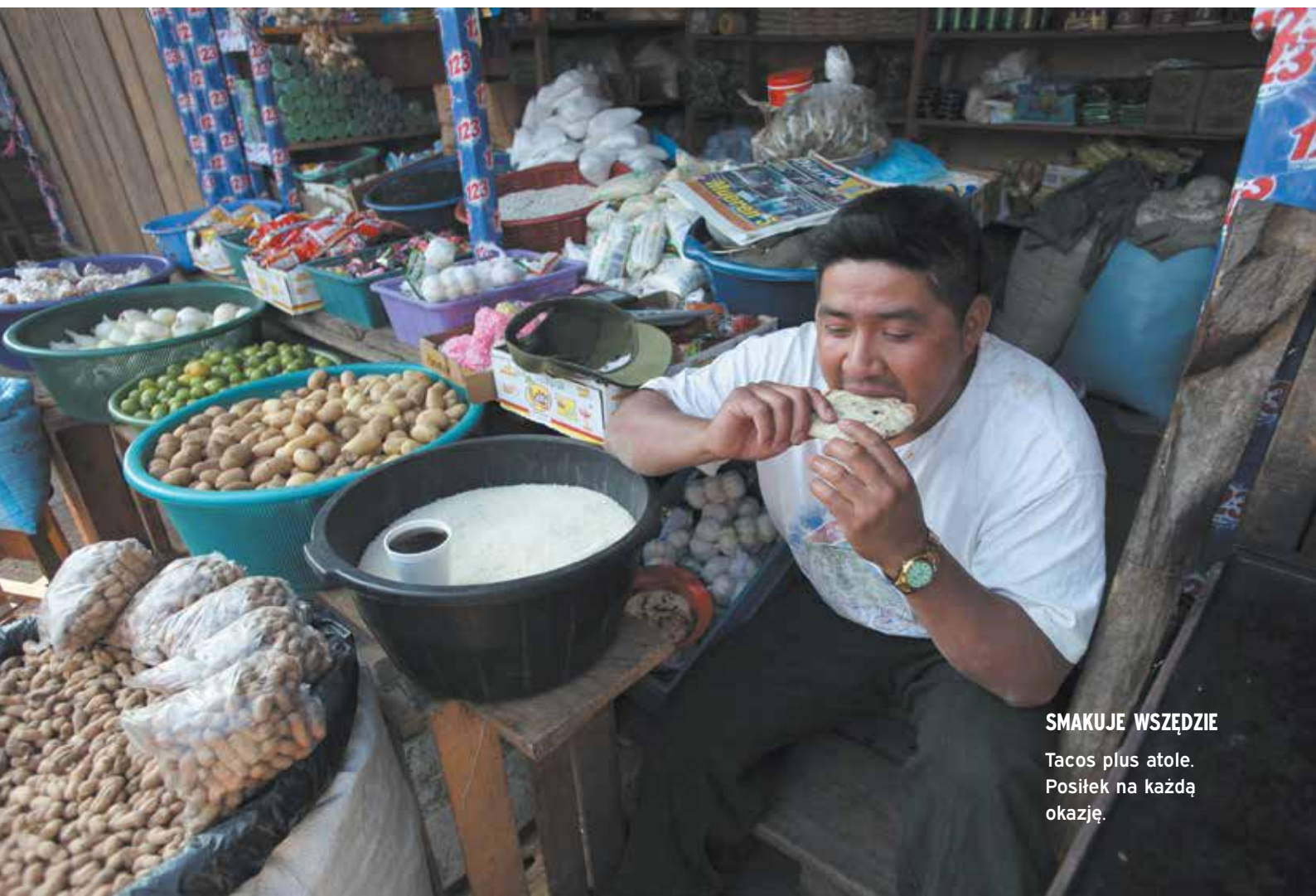


## MEKSYKAŃSKA PAPRYKA NIE ZNA LITOŚCI

Jedną z najostrzejszych na świecie jest chile habanero.



Meksykańskie świty padną  
kolendrą i pomarańczami.  
Dymią garnki z  
kukurykianym napojem  
zwanym atole



**SMAKUJE WSZĘDZIE**

Tacos plus atole.  
Posiłek na każdą  
okazję.

Nagle poczułam, że zamieniam się w pochodnię. Zapłonęły moje uszy, oczy, gardło, język i nos!!!



Crekolada miała smak chłodnych mgieł. Była w niej niebieskość nieba, głosy cykad, łagodność wanilii i nuta cynamonu



i bólu. Czysta kapsaicyna posiada wartość piętnastu milionów SHU<sup>3</sup>. Słodka papryka, która wcale nie jest ostra i nie zawiera kapsaicyny, ma wartość zero. Meksykańską paprykę habanero z odmiany Red Savina określono na pięćset tysięcy SHU. Przekładając to na uczucie w ustach chodzi o czysty ogień.

Nawet stół zadrżał na taką myśl. I podskoczyła ławka.

Indianka postawiła przede mną drewnianą czarkę ze świeżo zrobioną salsą. Ostrzegawczo zamigotały w niej czerwone kawałki papryki. Postanowiłam przyjąć wyzwanie.

– *Señorita!* – poprosiłam. – *Tacos con frijoles, por favor!*<sup>4</sup>

– *Si* – roześmiała się dziewczyna, odrzucając warkocz na plecy.

Wyciągnęłam rękę w ścierkę i sięgnęłam po gorące tortille piekące się na blasze. Uniosła pokrywkę jednego z garnków. Był pełen czarnej jak noc masy, w której rozpoznałam przygotowaną czarną fasolę z przyprawami.

Kiedy wzięłam do ręki pierwsze taco, do stołu przysiadł się kowboj w kapeluszu. Kraciasta koszu-

### CO KOGO STRASZY

**Tak samo, jak żaden wyznawca hinduizmu nie zje mięsa krowy, a Brazylijczyk ucieknie na widok potrawy z mięsa konia, tak Polak raczej nie zamówi w restauracji potrawy z mrówek albo koników polnych. Dlaczego? Bo nie wie, co jest dobre.**

<sup>3</sup> SHU – jednostka przyjęta do pomiaru zawartości kapsaicyny, będąca skrótem od słów Scoville Hotness Unit, czyli „jednostka ostrości Scoville’a”

<sup>4</sup> Tacos con frijoles, por favor – (hiszp.) poproszę o placki z fasolą

la, czarne oczy i spodnie z błyszczącą klamrą. Zamówił śniadanie i przyglądał mi się spod oka.

Odważnie sięgnęłam po salsę. Nałożyłam odrobinę do środka tortilli. Ugryzłam pierwszy kęs i... Spokojnie, nic się nie dzieje. Rzuciłam kowbojowi pewne siebie spojrzenie.

Poruszył brwiami i sięgnął po swoje tortille. Łyzeczka salsy, kęs, krople potu na czole.

– *Dobra salsa* – powiedziałam tonem znawcy.

– *Tak* – przyznał kowboj nieswojo.

– *Prawie w ogóle nieostra* – dorzuciłam od niechcienia, widząc, jak wypija pół szklanki wody, usiłując pewnie ugasić pożar na języku.

– *Ostra* – wtrąciła się dziewczyna z warkoczem. – *Dodałam chile habanero.*

– *Naprawdę?* – zapytałam lekkim głosem. – *W ogóle nic nie czuję.*

– *A skąd jesteś?*

– *Jestem z Polski* – odrzekłam, czując dumę i zadowolenie, jak zawsze, kiedy to mówiłam.

Reakcja na te słowa też zwykle była podobna.

– *Z Polski?* – zapytali jednocześnie ze zdumieniem.

My, Polacy, mamy bardzo dobre notowania w świecie. Lepsze niż w myślach większości Polaków. Prawie wszyscy słyszeli o papieżu Polaku i o człowieku nazwiskiem Walesa.

– *Tak, z Polski* – odrzekłam, przygotowując się na to, że usłyszę za chwilę okrzyki niedowierzania, podziwu i pytania o to, ile godzin musiałam lecieć samolotem, na co zawsze miałam gotową odpowiedź:





– Tak, to bardzo daleko stąd. Dwadzieścia godzin samolotem!

– Dwadzieścia godzin?! – wykrzykiwali wtedy zazwyczaj moi rozmówcy z niedowierzaniem, bo hasło „dwadzieścia godzin” brzmiało ogromnie gigantycznie, nawet dla osoby, która nie używa zegarka i nie liczy godzin.

Nie usłyszałam jednak nic. Bo nagle poczułam, że zamieniam się w pochodnię. Zapłonęły moje uszy, oczy, gardło, język i nos. Na chwilę całkowicie straciłam kontakt z rzeczywistością, cała stając się piekącym wielkim bólem. Łzy leciały mi po twarzy jak wodosпад, poczułam, że język puchnie mi jak balon, a nos robi się antarktycznie lodowaty.

Chwyciłam się kurczowo krawędzi stołu i otworzyłam usta, żeby schłodzić szalejący we mnie pożar, ale dotyk powietrza wywołał jeszcze większy ból. Zaczęłam sapać, dyszeć i machać rękami.

### ZJEDZ LARWĘ!

**Owady mają bardzo dużo wartości odżywczych. Są zdrowe i chrupiące. Od upieczonych owadów nie można się zarazić żadnymi bakteriami ani wirusami, są więc najbardziej bezpiecznym źródłem białka.**

z meksykańskiej kuduni:



chinicuile - larwy, które rosną na agawie



Mezcal - alkohol z agawy, do którego dla smaku dodaje się larwy

kami. Jak przez mgłę widziałam, że kowboj coś uprzejmie do mnie mówi, ale nic nie słyszałam. Miałam wrażenie, że dziki żar strawi i pochłonie mnie od środka. Nie próbowałam nawet prosić o pomoc, bo co można poradzić na porażającą swoją wściekłą mocą zabójczą paprykę, którą czyjaś beztroska ręka dorzuciła do sosu?

Nagle poczułam, że ktoś ściska mnie za ramię. Uścisk musiał być równie potężny jak huragan w moich ustach, bo wytrząsnął mnie z chwilowego paraliżu i zwrócił na siebie uwagę. Kto by pomyślał, że ta delikatna Indianka ma taki żelazny chwyt? – przemknęło mi przez głowę, gdy uświadomiłam sobie, że jej drobna rączka ściska mnie jak imadło.

Drugą ręką pokazywała na swoje usta. Przytaknęłam głową. Tak, tak, boli mnie w ustach, piecze tak bardzo, jakbym połknęła kaktusa z kolcami albo maczugę. Tak bardzo, że nie mogę myśleć ani mówić.

Żelazny uścisk jeszcze bardziej się zakleszczył. Teraz Indianka pokazywała nie tyle na swoje usta, ile na język, wyraźnie usiłując mi coś zasugerować.

Mam pokazać język? Proszę bardzo! Był wielki, spuchnięty i pulsujący z bólu. Nie zdążyłam jeszcze wymienić w myślach wszystkich objawów paprykowego poparzenia, gdy Indianka jednym szybkim ruchem wyjęła coś zza pleców i nasypała mi do ust. A dokładniej mówiąc: na mój wywieziony jęzor.



Cofnęłam się ze zdumieniem i już miałam zadyszec z oburzenia, gdy nagle poczułam! Że ogień zanika! Płomienie słabną, opadają, tracą porażającą piekiłność i ustępują na podobieństwo posłusznego odpływu w oceanie.

– *Ha?! –* sapnęłam, patrząc na Meksykankę i czując, że odzyskuję władzę w myślach. – *Co to, co to?*

– *Cukier –* powiedziała, jak gdyby nigdy nic.

– *Cukier?* – wybełkotałam spuchniętym językiem. – *Zwykły cukier?*

– *Hi, hi, hi –* dziewczyna zakryła dłonią usta.

– *Si, si!*

– *Cukier?* – powtórzyłam z niedowierzaniem.

Znałam różne sposoby radzenia sobie z piekłem palącej papryki. Niektórzy radzili zagryzać chlebem, popić mlekiem, wodą albo alkoholem, ale prawdę mówiąc żaden z tych sposobów nie był skuteczny. A teraz po raz pierwszy w życiu na własnej skórze doświadczyłam, że paprykowy ogień został skutecznie ugaszony, ale czym? Cukrem?

– *Można też użyć soli –* podsunął kowboj.

– *Soli?* – powtórzyłam jak automat. – *Zwykłej soli?*

– *Wystarczy nasypać na język trochę cukru albo soli –* powtórzył cierpliwie kowboj, przyglądając mi się nieco podejrzliwie.

Czyżby ostra papryka wypaliła nie tylko mój język, ale także słuch oraz umiejętność rozumowania?

– *Gracias!* – powiedziałam z ulgą, oddychając głęboko. – *A to?* – dodałam, pokazując na brązowe tabletki.

Wyglądały jak duże brązowe guziki bez dziurek.

– *To jest czekolada –* powiedziała Meksykanka z nabożeństwem w głosie. – *Chocolate.*

– *W pastylkach?*

– *Tak jak robili to Aztekowie –* wyjaśniła, wrzuciła pastylkę do wody i zaczęła mieszać.

A potem z jednego dzbanka przelewała kakao do drugiego i z powrotem, aż powstała gruba warstwa piany. Dokładnie tak, jak robili to kiedyś Aztekowie! Taki opis przygotowywania kakao czytałam u jednego z hiszpańskich kronikarzy.

Podniosłam szklankę do ust. Zamknęłam oczy. Czekolada miała smak chłodnych mgieł unoszących się nad łąką. Była w niej przejrzysta niebieskość nieba, trzaskotające głosy cykad i rąbek księżyca. Zapach usypiającej trawy i łagodność tropikalnej wanilii. Nuta cynamonu i słodka kropla meksykańskiej przeszłości.

Wstałam.

Usiadłam.

Na talerzu zobaczyłam nagle głowy, nogi i podłużne ciała w prążkowanej skórze.

– *Deser –* powiedziała Meksykanka, jak gdyby nigdy nic.

Ha! Mogłam się tego spodziewać, w końcu to przysmak w mieście Oaxaca na południu Meksyku. Czyżby deser miał zamiar uciec z talerza? Nie, na szczęście nie tym razem. Niedawno w Peru proponowano mi żywe larwy do zjedzenia. Meksykańskie larwy były nieco mniejsze i cieńsze. Miały skórę w karbowany wzór i lekko przypieczone brzuszki. Wyglądały bardzo zachęcająco.

– *Lubisz?* – zapytała Meksykanka, spodziewając się pewnie, że chwycę się za głowę i zacznę uciekać.

– *Lubię –* odrzekłam spokojnie.

## UPIECZ ŚWIERSZCZA

**Brązowe, błyszczące, upieczone świerszcze. Najlepsze chapulines zbiera się latem, od maja do września, dokładnie się je myje, a potem piecze na glinianej patelni z dodatkiem soku z limonów, ostrej papryki i soli wzbogaconej ekstraktem z larw chinicuile.**





## 2 meksykańskiej kuchni:

- tortilla - placek z kukurydzianej mąki
- ◐ taco - tortilla stworzona na pół, z nadzieniem
- 🍲 do każdego posiłku podaje się koszyk ze świeżymi, gorącymi tortillami



– W Polsce też je macie?  
– O nie! – roześmiała się. – W Polsce nie jada się larw ani pajaków, ani węży, ani świerszczy ani innych owadów.

– Szkoda – zauważyła Indianka.

Zgodziłam się. Owady mają bardzo dużo wartości odżywczych. Są zdrowe i chrupiące. Od upieczonych owadów nie można się zarazić żadnymi bakteriami ani wirusami, są więc najbardziej bezpiecznym źródłem białka. Niechęć do jedzenia potraw z owadów wynika więc tylko z przyzwyczajenia. Tak samo, jak żaden wyznawca hinduizmu nie zje mięsa krowy, a Brazylijczyk ucieknie na widok potrawy z mięsa konia, tak Polak raczej nie zamówi w restauracji potrawy z mrówek albo koników polnych. Dlaczego? Bo nie wie, co jest dobre.

– Świeże? – upewniłam się, podnosząc larwę do ust.

– Świeżutkie, rano chwytane – zapewniła mnie dziewczyna.

– Pyszne.

Te meksykańskie larwy nazywają się chinicuile i są słynne na całym świecie, ponieważ to właśnie one są czasem dorzucane do alkoholu zwanego mezcal. Nie przez przypadek akurat ta larwa i ten alkohol, ponieważ jedno i drugie pochodzi z agawy, czyli kaktusa o liściach podobnych do szabl. Są mięsiste i zawierają dużo soku, którym żywi się ćma *Hypopta agavis*. Potem składa na liściach agawy jajka, z których wykluwają się larwy. To one właśnie trafiają do mezcalu i stanowią przysmak po upieczeniu.

**TAK ZDROWIEJ**  
Na targowiskach można kupić białe wapienne kamienie, które dorzuca się do gotowania kukurydzy i dzięki temu jej wartości odżywcze stają się łatwiej przyswajalne dla organizmu ludzkiego.



– *A to chapulin?* – zapytałam, bo obok larw leżały brązowe, błyszczące, upieczone świerszcze.

To jest kolejna prawdziwa specjalność meksykańska. Nawet nazwa pieczonych świerszczy – chapulin – pochodzi z indiańskiego języka nahuatl, bo w innych krajach na świerszcze mówi się saltamontes, czyli dosłownie „skacze po lesie”. Najlepsze chapulines zbiera się latem, od maja do września, dokładnie się je myje, a potem piecze na glinianej patelni z dodatkiem soku z limonów, ostrej papryki i soli wzbogaconej ekstraktem z larw chinicuile żyjących na agawie.

– *Dobre, z sokiem z limonów* – dodał kowboj, mlaskając ze smakiem.

Mnie nie trzeba było zachęcać. Pieczone świerszcze są chrupiące i smaczne, myślę, że można je porównać do lekko słonych chipsów w cytrynowym sosie. Są pieczone w całości, z nogami i skrzydłami, i choć na co dzień jestem wegetarianką, w czasie podróży chętnie próbuję nowych smaków, bo jeśli nie zna się miejscowej kuchni z jej największymi przysmakami, to trudno powiedzieć, że poznało się kraj.

Wstałam, zapłaciłam za śniadanie i ze świerszczem w ustach ruszyłam dalej. ○

Beata Pawlikowska – pisarka, podróżniczka, autorka wielu książek i audycji „Świat według blondynki”  
[www.beatapawlikowska.com](http://www.beatapawlikowska.com)

Jako pierwsi prezentujemy fragment książki „Blondynka w Meksyku”, przygotowywanej przez National Geographic

RYSZARD  
BADOWSKI

Było to w czasie słynnego lotu Sojuz-Apollo w 1975 roku. Wraz z grupą dziennikarzy zagranicznych obsługujących pierwsze rosyjsko-amerykańskie spotkanie pozaziemskie zostałem zaproszony do zwiedzenia instytutu naukowego, w którym opracowano, między innymi, recepturę kuchni kosmicznej.

# Gulasz barona Tolla

**P**oczęstowano mnie chlebem, którym radzieccy kosmonauci Aleksiej Leonow i Walery Kubasow powitali na orbicie amerykańskich astronautów Thomasa Stafforda, Vance'a Branda i Donalda Slaytona. W prezenzie dostałem kosmiczny pakiet liofilizowanej żywności, stanowiącej posiłek pierwszych zdobywców kosmosu. Po tej degustacji zdarzyła mi się jednak inna, być może jeszcze bardziej niezwykła. W Instytucie Medycyny i Biologii Kosmicznej w Moskwie spotkałem pierwszego kosmicznego lekarza Borysa Jegorowa, który szepnął mi, abym odłączył się od grupy i udał do jego gabinetu. Gościł bowiem uczestników polarnej ekspedycji, która wróciła właśnie z Tajmyru, najdalej na północ wysuniętego półwyspu azjatyckiej części Rosji, gdzie znaleźli w wiecznej zmarzlinie, pod przewróconym ze starości krzyżem, konserwy armii rosyjskiej wyprodukowane w końcu XIX wieku. Zamierzali udowodnić, że w pełni nadają się do spożycia.

## W POGONI ZA FATAMORGANĄ

Tu konieczna jest dygresja historyczna, w której nie zabraknie polskich wątków. Na początku XX wieku pochodzący z Estonii badacz polarny Edward Toll wyruszył na wielorybniczym szkunerze żaglowo-motorowym Zaria na Morze Łaptiewów w poszukiwaniu legendarnej Ziemi Sannikowa. W głąb Arktyki prowadziła go legenda o pojawiającym się i znikającym wśród lodów tajemniczym lądzie, który widział w 1811 r. rosyjski łowca zwierząt arktycznych i handlarz futrami Jakow Sannikow, a po nim inni podróżnicy. Tollowi zamajaczyła na horyzoncie w czasie dwu pierwszych jego wypraw do Arktyki, gdy w latach 1885-1886 oraz w 1893 badał Wyspy Nowosyberyjskie i deltę rzeki Leny. Ziemia Sannikowa pobudziła tak mocno jego wyobraźnię, że postanowił nanieść ją na mapy. Dziś wie-

my, że była polarną fatamorganą. Być może górą lodową lub odsłaniającą się okresowo wielką podwodną płyczną? Dziś dostrzeżby ją bez wątpienia sztuczne satelity, a w połowie XX w. lotnictwo polarne.

Pod koniec 1900 lody zatrzymały statek Tolla u północno-zachodnich wybrzeży półwyspu Tajmyr, które postanowił gruntownie zbadać. Wtedy były to ziemie prawie zupełnie nieznanne. Spotkać można na nich było jedynie myśliwych Nieńców, polujących na zwierzęta morskie. Kolejną polarną zimę, na przełomie lat 1901 i 1902, spędził na wyspie Kotielny. W 1902, po znalezieniu wolnej od pokrywy lodowej połączy morza, dopłynął do 77°32' szerokości północnej, ale w swej trzeciej arktycznej wyprawie zarysów upragnionej Ziemi Sannikowa nie dojrzał. Nie rezygnował jednak i przeszedł po lodzie z trzema towarzyszami ze statku Zaria na Wyspę Benetta. Tam zaskoczyła go kolejna zima. Zaria nie zdołała się po niego przebić. Wyruszył zatem w drogę powrotną na saniach ciągniętych przez psy. I wszelki ślad po nim zaginął.

W ekspedycji Tolla uczestniczyli trzej Polacy: pochodzący z guberni mohylewskiej zoolog Aleksander Białyński-Birula, geolog Konstanty Wołosowicz, też urodzony na dzisiejszej Białorusi oraz meteorolog Józef Ciągłiński, rodowity mieszkaniec Warszawy. I odegrali w niej niepoślednią rolę.

Pierwszy z nich późniejsze życie związał z radziecką Rosją, chociaż wielu członków jego rodziny wybrało za ojczyznę Polskę i zasłużyło się dla nauki polskiej. Aleksander Białyński-Birula, przyszły wybitny parazytolog, zrobił karierę jako profesor Uniwersytetu Leningradzkiego, dyrektor Muzeum Zoologicznego i członek-korespondent Akademii Nauk ZSRR. Zmarł w 1937 roku.

Konstanty Wołosowicz, absolwent Uniwersytetu Warszawskiego, trafił po studiach na zesłanie do Archangielska. W latach 1896-1899 prowadził prace badawcze

w dolnym biegu Dwiny, wpadającej do Morza Białego. Ich wyniki opublikował w piśmie Warszawskiego Towarzystwa Przyrodniczego. Ktoś z tej instytucji zarekomendował go baronowi Tollowi, który zaprosił go na swój statek. Wołosowicz przeżył rosyjską rewolucję, ale do Polski nie zdążył wrócić. Zmarł w 1919 na Ukrainie.

Józef Ciągłiński przez trzy lata studiował nauki przyrodnicze w Warszawie, których nie ukończył, gdyż za udział w manifestacji na Starym Mieście ku czci Jana Kilińskiego został w 1894 aresztowany i zesłany nad rzekę Sysołę, w okolice Syktywkaru, stolicy dzisiejszej Republiki Komi. W 1897 zesłano go dalej, do Daurii za Bajkałem. W Irkucku zetknął się z Wołosowiczem, który zwrócił na niego uwagę Tolla. Estoński baron powierzył polskiemu zesłańcowi zbudowanie składów swej wyprawy na wyspach arktycznych oraz wzniesienie na jednej z nich stacji meteorologicznej. W 1903, po powrocie do Warszawy, Ciągłiński wygłosił odczyt zatytułowany *Z krain polarnych. Podróż na Wyspy Nowosyberyjskie*. W tym samym roku jego relację o wyprawie Tolla wydrukował miesięcznik *Wszeczwiat*. W okresie międzywojennym Ciągłiński pracował w jednym z biur miasta stołecznego Warszawy. Nic nie wiadomo o jego dalszych losach. To właśnie Ciągłiński zakopał w wiecznej zmarzlinie żywność, z której miała skorzystać ekspedycja Tolla w drodze powrotnej. Miejsce jej złożenia w arktycznej lodówce oznaczył widocznymi z dala krzyżami.

## W CZEPKU URODZENI

Zanim Toll wyruszył z powrotem w stronę Wysp Nowosyberyjskich, na których zamierzał spędzić trzecią arktyczną zimę, w obozowisku Kazaczje czekał na niego Ciągłiński, który na pięciu saniach mających w zaprzęgu po 14 psów, wysłał mu na spotkanie 2,5 tony zaopatrzenia. Toll uznał wtedy zadania ekspedycji pomocniczej za



zakończone i odprawił Ciaglińskiego w drogę powrotną na Wielką Ziemię, czyli na kontynent. Wkrótce jego śladem podążył Wołosowicz. To uratowało im życie. Białyński-Birula na wyspie Nowa Syberia czekał na Tolla do 2 grudnia 1902. To on przywiózł do Jakucka w 1903 roku wiadomość, że z Tollem stało się coś złego. Do jego obozu dotarł bowiem w końcu września pies zaprzęgowy, towarzyszący szefowi wyprawy. Domyślił się wtedy, że Toll opuścił Wyspę Benetta, udając się na poszukiwanie najbliższego składu żywności. Później na Wyspie Benetta natknęto się na prymitywną chatkę, stanowiącą ostatnie schronienie Tolla. Znalaziono w niej porzucone przez niego zbiory geologiczne i list do tych, którzy będą go poszukiwać. Oznajmił w nim, że opuszcza wyspę 26 października 1902. Pies zatem uciekł od słynnego polarnika, gdy ten jeszcze żył. Syberyjska łajka nie potrafiła jednak mówić.

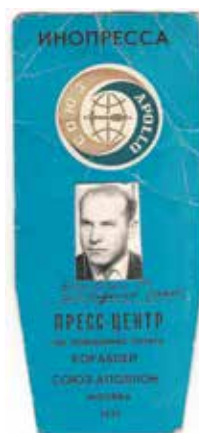
Uczni rosyjscy głowili się przez dziesięciolecia, co się stało z Tollem. Zginął sparaliżowany mrozem i został przysypany śniegiem? Rozwały się pod jego saniami lody Oceanu Arktycznego, który wciągnął go w swoją toń?

Wszyscy nasi rodacy uczestniczący w tragicznej ekspedycji przeżyli. Przyczynili się do odtworzenia jej historii.

### KRUPNIK, A NIE KAPUŚNIAK

Ekspedycja Uszakowa odnalazła na Tajmyrze nietknięty skład żywności sprzed kilkudziesięciu lat dokładnie w tym miejscu, gdzie kazał go założyć Toll. Krzyż zmuszał i upadł na zmarznięty grunt. Pozostał z niego jedynie słup. Żywność, która Tollowi i jego towarzyszom mogła uratować życie, spoczywała w wiecznej zmarzlinie na głębokości półtora metra, w arktycznej lodówce, w której latem panowała temperatura poniżej zera, spadająca zimą do  $-8^{\circ}\text{C}$ .

Ekspedycja, w której brał udział Uszakow, znalazła 48 doskonale zachowanych puszek konserw, wyprodukowanych dla armii rosyjskiej przez firmę F. Aziber z Sankt Petersburga. Jedną z nich uczestnicy dziennikarskiej wyprawy otworzyli na miejscu. Według przepisu podanego na blaszanym pudełku ugotowali żołnierską strawę, która bardzo im smakowała. Kilka puszek konserw zabrali do Moskwy. Resztę zakopali w tym samym miejscu, gdzie je znaleźli. Po zbadaniu konserw Tolla w laboratoriach Instytutu Medycyny i Biologii Kosmicznej miałem okazję dołączyć do nieoficjalnej degustacji dla pracowników instytutu, na którą zaprosił mnie kosmonauta-lekarz. Arkady Uszakow, podwładny Borysa Jegorowa, miał wielką uciechę, patrząc na moją minę. – Nie bój się, w pro-



**Fotografie z archiwum autora przedstawiają odnalezienie zapasów Tolla przez wyprawę Uszakowa. Obok: przepustka do centrum przygotowań lotu Sojuz-Apollo.**

tokole napiszemy, że była to naukowa oce-  
na potraw z udziałem zaproszonych osób.  
Możemy nazwać cię ochotnikiem gotowym  
do poświęceń w imię nauki – stwierdził  
z humorem.

Kasza z okrągłego pudełka, wykonanego z grubej nierdzewnej stali, ogrzana została na laboratoryjnej kuchence elektrycznej zgodnie z instrukcją, która brzmiała: *Do zawartości dolać 2/3 wody, gotować 10 minut.* Poniżej tej wskazówki znajdował się dopisek: *1 funt 70 złotych.* Złotnikiem nazywano w Rosji w XIX wieku miarę ciężaru, równą 1/96 funta. Puszka zawierała zatem 70 dag kaszy z mięsem. Stosując podaną proporcję, uzyskiwało się z niej zawieszisty krupnik. Można też było dodać wodę zmniejszyć, wówczas otrzymywało się mięsny gulasz z kaszą. Czy smakowało? Gdybym nie został uprzedzony, nie odróżniłbym kaszy z końca XIX wieku od współczesnej. Uszakow ucieszył się opinią pierwszego zagranicznego degustatora. *To dowód, że lodówka w wiecznej zmarzlinie funkcjonowała niezawodnie przez wiele dziesiąt-*

ków lat. W Arktyce i Antarktyce można będzie zakładać składy żywności w okresie jej nadmiaru na ziemi, a w razie klęski żywiołowej mogącej dotknąć całą naszą planetę, takiej jak globalne ocieplenie, otwierać je, aby uratować ludzkość – brzmiała konkluzja z badań.

Wtedy zabrzmiało to jak cytata z powieści science fiction. Ale biolodzy i medycy kosmiczni do zakopanych z powrotem pozostałych puszek Tolla dołożyli konserwy współczesne oraz porcje żywnościowe kosmonautów wyprodukowane zgodnie z ich zaleceniami. Tym razem wykopano w zmarzlinie trzy doły. Pierwszy miano odślonić w 1980 roku, drugi w 2000, trzeci w 2050, gdy ludzie będą podróżować daleko poza Ziemię. Do każdego włożono po jednej puszcze konserw Tolla.

Nie wiem, czy odbyła się pierwsza kontrolna degustacja. W 1980 Związek Radziecki chylił się ku upadkowi. W 2000 już nie istniał. Mój przyjaciel Borys Jegorow zmarł, podobnie jak dyrektor instytutu prof. Oleg Gazienko, który przymknął oko na polskiego dziennikarza płaczącego się po placówce utajnionej do czasu lotu Sojuz-Apollo przed cudzoziemcami.

Do napisania tego tekstu skłoniła mnie publikacja o założeniu w 2008 Globalnego Skarbcza Nasiennego na Spitsbergenie, w którym w trzech komorach pomieszczone 1,5 mln próbek po 500 nasion roślin występujących na Ziemi. System komputerowy nawet przy zmianach temperatury w Arktyce, które spowodowały przyspieszone topnienie lodowców, pozwoli im przetrwać do 400 lat w temperaturze od  $-3$  do  $-8^{\circ}\text{C}$ . I zupełnie niedawna korespondencja z Moskwy jednego z najbardziej poczytnych polskich dzienników, w której wyczytałem, z powołaniem się na obecne źródła rosyjskie, o degustacji znalezionej na Tajmyrze kapuśniaku wyprodukowanego w 1900 roku w fabryce Azibera, który po podgrzaniu nadawał się do zjedzenia. Z newsa, spóźnionego o 35 lat, dowiedziałem się, że pomysłem przechowywania w wiecznej zmarzlinie żywności dla wojska zainteresowały się rosyjska armia i służby specjalne.

Może więc odkopano ponownie skład żywności Tolla i tym razem degustowano kapuśniak? A może nie chciano zdradzić, że był to krupnik? Kiedyś w ten sposób zniekształcano w Rosji mapy. Ale dziś? Tak czy owak, mam satysfakcję, że uczestniczyłem w wydarzeniu, które wtedy traktowałem jedynie jako ciekawostkę. Teraz okazuje się, że od takich wydarzeń mogą zależeć losy ludzkości. ○



**OBYWĄZKI W BUENOS**

Wypić Quilmesa,  
zjeść spaghetti,  
zatańczyć na ulicy  
tango z dziewczyną.  
No i zdjęcie z Maradoną!





Tydzień w Buenos Aires

# POCAŁUNKI

Tekst: Grzegorz Kapla





**ZMYSŁOWY  
UROK MIASTA**

**Tango i namiętność.  
W Buenos jedno  
i drugie wypełnia ulice.**

Są wszędzie. W słońcu i w cieniu. Namiętne i ukradkowe. W usta i kark. Na powitanie i na do widzenia. Są jak uścisk ręki.

**N**iedziela. Szósta rano. Piękna godzina. Powietrze świeże, jak siedemnaście lat i nogi w czerwonych szpilkach. Trójkątne plasty słońca pomiędzy cieniami kamienic wzdłuż Avenida Corrientes są jeszcze na tyle wąskie, żeby oczu nie poranić. Zanim opuścisz gościnne progi „El Beso”, żeby zejść na parter, do wyjścia – dostaniesz kawę i rogalik medialunę. Właściwie croissantu, bo smakuje dokładnie, jak w Tuluzie.

„El Beso” – znaczy: „Pocałunek”. Tango bar. Najlepsze miejsce w śródmieściu, żeby zobaczyć tangueros. Dwa przystanki metrem, od Plaza Republica. Nie ma szyldu, tylko adres, ale cia-

sno ponad miarę. I pełno dymu, mimo że nad głową jeden przy drugim wiszą samochodowe filtry powietrza. Robią za abażury. Ażurowe, jak pończochy tancerek. Wino podają tu niebezpiecznie czerwone. Zupełnie jak usta. I lepiej na tym pozostać.

Jeśli nie tańczysz po mistrzowsku – lepiej popatrzyć. Zwłaszcza że kobieta – milonguera może się okazać przebrany facetem. Nad ranem parkiet mogą wreszcie zaatakować nawet największe snuje. I tak nikt już nie patrzy przytomnie.

Rankiem można przysiąść gdzieś na krawężniku i – zanim nadpłyną taksówki – pogadać



z „partehos”, mieszkańcami Buenos, jakbyście się znali od lat.

– Co myślisz o naszym mieście?

– Hm... – uśmiecham się z zakłopotaniem.

Co mogę myśleć o szóstej nad ranem?

– Kosmopolityczne, nie?

Taaak... To zaskakujące, ilu ludzi o to pyta. Widać „kosmopolityczny” to modne słowo tego lata. Lato w Buenos trwa do końca marca.

W niedzielę o świcie czarne taksówki, z dachami żółtymi, jak gumowe kaczki, mają sporo pracy. Ktoś musi wyłowić rozbitków z labiryntu śródmieścia. Jeszcze tradycyjna, obowiązkowa wymiana całusów na do widzenia i można jechać. Wolno. Suave. Bo pan kierowca podziwia dostojne, burżuazyjne elewacje.

– Kiedy ja mam popatrzeć na nasze piękne miasto, jak nie w niedzielny poranek? – odwraca się do mnie, bez ryzyka, że na coś wjedzie. O tej porze na centralnej Avenida De Mayo krążą tylko autobusy.

Z tym „Mayo” na początku jest niezły pasztet, bo przecież spodziewasz się wszystkiego, ale nie tego, że tutaj, w Argentynie „y” wymawiają nie jak „jot”, ale jako... „es”. Masio!

## PONIEDZIAŁEK. PRZED ZACHODEM SŁOŃCA

Avenida De Mayo jest dla Buenos jak Marszałkowska. Rozciągnięta na półtora kilometra, łączy różową rezydencję prezydenta – Casa Rosada z monumentalnym, szarym gmachem kongresu. Julio i Esteban siedzą bez ruchu i patrzą na zieloną, monumentalną kopułę. Wczoraj też tu siedzieli o zmierzchu. Jak wartownicy.

Prawdziwi wartownicy stoją pod Casa Rosada i tuż obok, w katedrze, przed imponującym grobowcem generała San Martina. Już od 200 lat, wciąż w tych samych uniformach konnych grenadierów. To z balkoniku Casa Rosada Evita Peron pozdrawiała Buenos. Śliczna dziewczyna z wioski La Union miała piętnaście lat, gdy ruszyła do miasta, żeby zostać aktorką, a stała się żoną prezydenta.

– Mówią, że to się zdarza tylko w USA – tak jak Elvisowi, który był kierowcą ciężarówki, ale u nas, w Buenos liczy się tylko historia Evity – podkreśla mój argentyński przyjaciel, Walter Asmus, potomek niemieckich emigrantów z końca XIX wieku. – W dodatku karierę zrobiła nie dla siebie, ale dla wszystkich. Nigdy nie zapomniała, że jest z biednej rodziny i biedni zawsze mogli na nią liczyć. Do dziś mówią, że jest „Aniołem Buenos”.



### CUD W LA BOCA

Kiedyś najuboższa dzielnica odrapanych balkonów, obitych blachą małych domków. Teraz – w błękitie, żółci i czerwieni.

Jakby wycięta z dziecięcej bajki. Turystyczne serce miasta.



### SZCZĘŚLIWA MATKA

**Junta rządziła 7 lat. „Zaginęło bez wieści” 30 tys. ludzi. Matki tych, co przypadli, spotykają się na placu. Stają przed Madonną, co na rękach trzyma Syna. Mówią o niej – Szczęśliwa Matka. One nawet nie znają grobów swoich synów.**

W 1976 roku generał Jorge Videla obalił rząd Izabeli Peron i do Casa Rosada wprowadziła się armia... Junta rządziła 7 lat. W tym czasie „zaginęło bez wieści” 30 tys. ludzi. Matki tych, co przypadli, spotykają się na placu w każdy czwartek. W białych chustach na głowach i ze zdjęciami swoich synów. Matki z Plaza de Mayo.

Idą przez skwer, w cieniu drzew, posiedzieć na ławkach z klinkierowej cegły. Jeśli przy nich usiądziesz, opowiedzą ci, jak było. Kiedyś, gdy budziły się rano. Tak rano, żeby popatrzeć na chłopców sen.

A potem znikają w chłodnym cieniu monumentalnego portyku katedry. Stają przed Madonną, co ma za plecami malowidło ze Świętą Teresą. Przed tą Madonną, co na rękach trzyma Syna. Mówią o niej – Szczęśliwa Matka. One przecież nawet nie znają grobów swoich synów.

### WTOREK. GODZINY SZCZYTU

Avenida 9 de Julio. Uchodzi za najszerszą ulicę świata. Sto dwadzieścia metrów szerokości, które tylko w niedzielny poranek można przeciąć jak arbuza. Bez zatrzymania. Normalnie trzeba zatrzymać się kilka razy. Na jednych światłach, potem na drugich i trzecich. Ulica pociągnięta jest tak, żeby z każdego jej miejsca widać było Obelisco – tutejszą wieżę Eiffela. Można tu złapać autobus 29. Do La Boca.

Autobusy w Buenos: tanie, czyste, przyjazne. Idealne. Mają tylko jedną wadę. Na przykład 86, którym można za 2,35 peso dojechać z centrum na lotnisko (luksusowe bazy Manuela Tiendy Leona kosztują piętnaście razy tyle). Numer 86 ma obok numeru literki od A do F. Tylko 86A jedzie na lotnisko, reszta – Bóg jeden wie, dokąd.



La Boca. Turystyczne serce miasta. Jeszcze niedawno najuboższa dzielnica odrapanych balkonów, na licach obitych blachą małych domków. I olbrzymiego stadionu Boca Juniors, na którym święcił tryumfy Diego Maradona. Aż pewnego dnia miejscowy artysta, Benito Quinquella namówił sąsiadów, żeby swoje biedne domki o małych okienkach i długich, wąskich korytarzach pomalowali w kontrastowych odcieniach błękitu, żółci i czerwieni. Żeby zaczęły wyglądać jak wycięte z dziecięcej bajki. Dziś Caminito to luksusowy deptak pełen pamiątek, muzyki, upiornie drogiego piwa, tancerzy tanga i bajecznych kolorów. Obowiązkowy punkt wizyty w Buenos? Wypić Quilmesa, zjeść spaghetti, zatańczyć na ulicy tango z dziewczyną, która pracuje jako żywa reklama. I wrzucić kilka peso do kapelusza harmonisty, grającego na bandonionie – akordeonie stworzonym specjalnie do tanga. I zrobić sobie zdjęcie z... Maradoną.

– *No co ty, z Diego nie porozmawiasz* – nawołuje jego sobowtór. Kędzierzawy, gruby, w pasiastej koszulce z numerem 10, identycznej jak ta, w której w 1986 roku Diego strzelił łokciem gola, co dało Argentynie mistrzostwo świata. No jak można by-łoby odmówić?

## ŚRODA. PÓŁNOC

Nocą trzeba wsiąść do autobusu 39. Najlepiej na Plaza Italia, tuż obok ogrodu botanicznego. Akurat po kolacji w Palermo Soho. W Argentynie większość restauracji otwiera podwoje około 20. W Palermo dobrze gotują, a przy obecnym kursie złotego Polacy nie muszą oszczędzać. Na Plaza Italia autobus 39 nie jest jeszcze zatłoczony. Bilet za 1,2 peso można kupić u kierowcy a potem usiąść po prawej stronie i posmakować Buenos nocą. Popatrzeć na zakochanych, kioski pełne gazet, psy co wolą nocny chłód od upału dnia, dziewczyny w samej tylko bieliznie i wysokich butach, co szukają klientów na Talcahuano i całej Santiago del Estero, wysokie kamienice o kunsztownie dekorowanych fasadach – a w końcu nowoczesne światła dworca Constitucion.

To dobry czas żeby zajrzeć do Cafe Tortoni (Avenida de Mayo 829), ukochanej knajpki Jorge Borgesa. Lubił tu zaglądać Gombrowicz.

Zakochani wymykają się cichcem, żeby zapytać o łóżko w którymś z pobliskich transitorios – hotelików z pokojami na godziny. Nie dla dziwek, ale dla młodych, którzy nie znajdują intymności w mieszkaniach, w których bracia, siostry, wujkowie, ciotki mieszkają wespół z prababcią i stry-



jecznym dziadkiem... Jeśli nie ma wolnych miejsc, siadają w lobby, jak w poczekalni, piją mate i gadają o aniołach.

## CZWARTEK. ANIOŁY

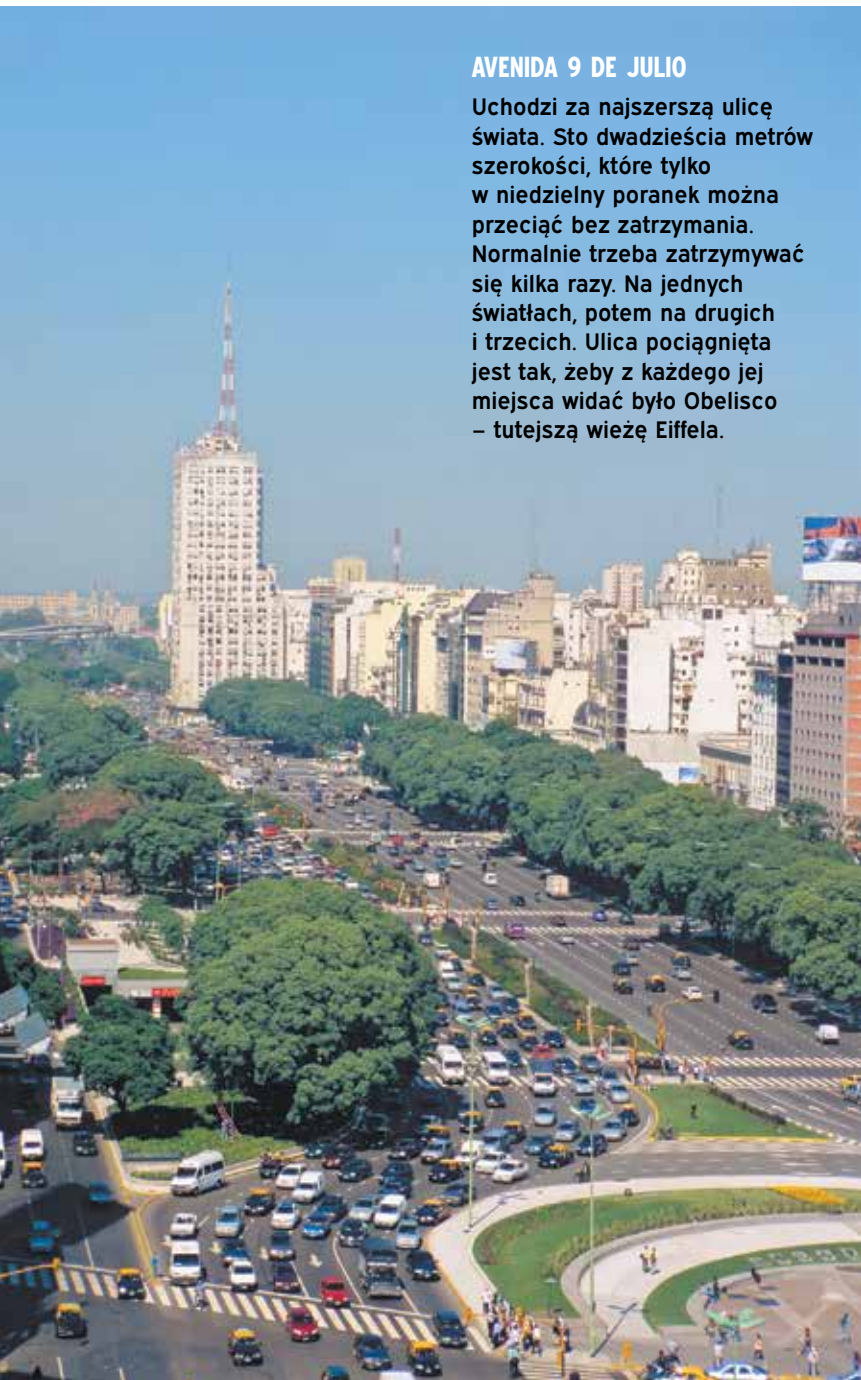
Imię tego miasta w pełnym brzmieniu to El Puerta de Nuestra Señora Santa Maria del Buen Aire: Port Najświętszej Pani od Świeżego Powietrza. Czyż może dziwić, że tyle tu portretów Madonny, Dziewicy i bolesnej Dolorosy odzianej w kir z grubego aksamitu? No i aniołów. Na fasadach domów, w kościołach i kaplicach, na pomnikach, o ile nie okupują ich akurat generałowie. Powszechnie lubiany San Martin i Roca, któremu potomkowie Indian nie wybaczą, że Mapuczów wyciął niemal do szczętu.

Mam dwa ulubione anioły. Pierwszy stoi w bocznym ołtarzu w bazylice Świętego Franciszka

**TO CO,  
ŻE PODRÓBKA...  
Fotka z Maradoną?  
Bezcenne!**

### AVENIDA 9 DE JULIO

Uchodzi za najszerszą ulicę świata. Sto dwadzieścia metrów szerokości, które tylko w niedzielny poranek można przeciąć bez zatrzymania. Normalnie trzeba zatrzymywać się kilka razy. Na jednych światłach, potem na drugich i trzecich. Ulica pociągnięta jest tak, żeby z każdego jej miejsca widać było Obelisco – tutejszą wieżę Eiffela.



W księgarni na Yngoyen stoi w skrzynce książka Jerzego Popiełuszki, w każdej księgarni na wystawie stoją książki Jana Pawła II albo przynajmniej książki o nim. W kawiarniach Palermo wciąż stoją krzesła, których obicia wycierał Gombrowicz. Pianina, na których Jerzy Petersburski grał Tango Milonga – jeszcze dźwięczą w nocnych klubach.

W Domu Polskim wiedzą nawet, gdzie zjeść pierogi, zamiast katować się empanadas. Po polsku, choć już coraz rzadziej, porozmawiać można pod synagogą – bo po wojnie nie wszyscy Żydzi wyjechali do Izraela. Argentyńska diaspora to największe skupisko Żydów w obu Amerykach. Jeśli rozejrzeć się po sztydach w śródmieściu, to luksusowy hotel Kempinski nie jest jedynym polskim brzmącym. Nawet na Recolecte, jednej z najbardziej przejmujących nekropolii świata, nie brakuje polskich nazwisk.

### PIĄTEK. CAŁUSY

Całusy są w Buenos równie powszechne, jak plakaty z Maradoną, zakupy na Calle Florida, empanadas, mate i tutejsza specjalność: paseadores de perros. Najmodniejszy Maradona to „oryginalny poster z epoki”, czyli z połowy lat osiemdziesiątych, często noszący widoczne ślady użycia. Trzeba pytać w antykwiariatach, także tych wokół Calle Florida – najmodniejszego deptaku handlowego stolicy.

Jest drogo, hałaśliwie, cudownie. Zwłaszcza, jeśli można sobie pozwolić na więcej niż tylko oglądanie niezwykłych wnętrz tutejszych centrów handlowych. Empanandas, czyli pierogi, smakują inaczej w każdym porannym barze. I, niestety, nie

przy Adolfo Alsina, parę kroków od Casa Rosada. Kiedy go wyrzeźbiono – płakał. Ale złota polityra pomarszczyła się i spękała tak, że teraz zdaje się uśmiechać. Drugi wspiera emporę w kościele Świętego Marcina w Retiro, tuż koło portu na Rio de la Plata. Warto tam zajrzeć, aby zobaczyć witraże i boczny ołtarz z wizerunkiem Chrystusa i polskim napisem „Jezu ufam Tobie”.



da się ich zjeść mniej niż sześć. Yerba Mate to miejscowy fenomen. Za rozmawianie przez telefon komórkowy policja może wręczyć kierowcy mandat, ale tego, że ma rękę zajęłą mate żaden mundurowy nie zauważy. Miejscowi taszczą ze sobą specjalne plecaki z miejscem na materę (naczynko z tykwy), rurkę z sitkiem – bombillę, paczkę mate i dwa termosy z gorącą wodą. Częstoują znajomych i obcych. Jakby to była fajka pokoju.

Paseadores de Perros – opiekunowie do psów. W Buenos mieć opiekuna to wymóg stylu życia. Wyprowadzają psa dwa razy dziennie za jedyne 30-35 USD miesięcznie. To niewielki zarobek, bo pracuje się także w niedziele i święta. Ale jeśli opiekun uzbiera 15-16 psów, to miesięcznie zarobi więcej niż nauczyciel. Psy są zadziwiająco posłuszne. Mimo że to kolekcja wszelkiej maści – od miniaturowych Yorków, przez owczarki i rottweilery, aż po dogi argentyńskie – idą razem, nie wyją, nie szczekają i nie rzucają się sobie do gardeł.

Można sobie je oglądać nie przerywając opalania. Parteños każdy skrawek zielonej trawy potrafią wykorzystać do tego, żeby się opalać, albo przynajmniej poleżeć w słońcu i powymieniać pocałunki. Leżą pod Parlamentem, pod pomnikiem San Martina, w parkach, na skwerach i trawnikach koło dworca Retiro.

Pocałunki są wszędzie. W słońcu i w cieniu. Namiętne i ukradkowe. W usta i kark. Na powitanie i na do widzenia. Są jak uścisk ręki. Nawet w kościele na wezwanie „przekażcie sobie znak pokoju” nikt się sobie nie kłania. Wszyscy się całują.

## SOBOTA. RECOLETA

Na Recolecte aniołów najwięcej. Stoją na szczytach dachów, siedzą na rogach uliczek, patrzą z sufitów i ścian przeszklonych witrażami. Płaczą, dumają albo wznoszą miecze nad szatańskim pomiotem. Recoleta. Najpiękniejsza z amerykańskich nekropoli. Ostatnia inwestycja airesańskiej elity z XIX



i początku XX wieku. Przypomina paryski Pere Lachaise – wąskie uliczki, z grobowcami na kształt domów. Ale te są w stylu art deco. Przez wierzaje wykute z grubej stali albo przeszklone, z przydymionym, poczeriałym szkłem lub niezwykłym witrażem. Można zajrzeć do środka.

Argentyńczycy noszą kwiaty Evicie Peron. Polacy – bohaterom wojny z Paragwajem, bo na tablicach pamiątkowych wiele polskich nazwisk. Niektórzy szukają jeszcze grobowca Izabeli Walewskiej, wnuczki Poniatowskich. To cmentarz. Ale i dzieło sztuki. Ostatni przystanek pomiędzy miastem słońca i krainą Boga. Parteños idą tam, jak do siebie. Bóg jest ich sąsiadem, prywatny apartament ma przecież właśnie w Buenos. Wierzą, że w niebie przyjmie ich, jak swoich, tym dziwnym akcentem, z „eś” zamiast „jot”.

No i pocałunkiem. ○

## YERBA MATE

**To miejscowy fenomen. Za rozmawianie przez komórkę policja może wręczyć kierowcy mandat, ale tego, że ma on rękę zajęłą mate – nie zauważy. Miejscowi taszczą ze sobą specjalne plecaki z miejscem na materę (naczynko z tykwy), rurkę z sitkiem – bombillę, paczkę mate i dwa termosy z gorącą wodą. Częstoują znajomych i obcych.**



## KWESTIA PRESTIŻU

**Opiekunowie do psów. W Buenos, mieć takiego – to wymóg stylu życia.**



Morza szum, ptaków śpiew, złota plaża pośród drzew...  
No, tak z ręką na sercu, kto nie miałby ochoty?  
A gdyby tak jeszcze najfajniejsza plaża na świecie, a w dodatku pusta?  
Marzenie ściętej głowy? Hm, niekoniecznie, znalazłem takich kilka.

# SZYBCIEJ NIŻ HIPOPOTAM

**A**by docenić uroki plaży, nie trzeba być od razu fanem plażowania. To wręcz przeszkadza. Fan plażowania mało wybredny jest, wystarczy mu słońce, grajdół własny i trochę wody, może być chlorowana w hotelowym basenie. Ale są i tacy, a wśród nich autor tych słów, których wizja choćby tygodniowego wylegiwania się w słońcu przeraża i tylko miłość ojcowska sprawia, że są skłonni czasem się poświęcić. Ale i to nie za często, a zresztą ważne, by piwo zimne było. Z plażami można jednak inaczej. Na początku lat 90. Rumunia nie wyglądała jak członek Unii Europejskiej, którym oczywiście nie była. Szczerze mówiąc nie wyglądała w ogóle. Łącząc po tamtejszych górach – w środku lata – zapragnąłem, po jakichś dwóch tygodniach, kąpieli.

Próba wprowadzenia tej wizji w czyn w jednym z bukaresztańskich hotelików spełza na niczym, ze względu na przejściowe trudności z wodą. Dopiero lekko zasyfiona wioska rybacka Costinesti okazała się być tym, czego szukałem. Żadnych sieci hoteli, trochę studentów, smażalnia, wielka plaża – no i wody, ile człowiek zapagnie.

Bo na najlepsze plaże trafia się zwykle przypadkiem. Gdy teraz, o dwadzieścia lat

i tyleż kilogramów starszy, rozpaczliwie próbuję w porze wakacji znaleźć cokolwiek, coby się dzieci wytaplały – trafiam na co najwyżej wyrób plażopodobny. Ale jest kilka miejsc, w których kąpiel to czysta rozkosz. Oto moja najlepsza trójka:

## 1. BUJUMBURA (BURUNDI), JEZIORO TANGANIKA

Tak, wiem, że wygląda to jak tania prowokacja, ale co ja zrobię, że to bezsprzecznie jedna z piękniejszych plaż, jakie w życiu widziałem. Żłoty, czysty piasek, przejrzysta woda jednego z największych i najgłębszych jezior świata – to mało?! Dobrze, dorzucmy więc to uroczę poczucie pustki, bycia jedynym turystą na plaży, ale w komfortowych warunkach (burundyjskie piwo naprawdę nie jest złe!) Jeszcze za mało? Dobrze więc, to jedyne znane mi miejsce na świecie, gdzie można kąpać się z hipopotamami. Oczywiście, warto przy tym pamiętać, że urocze stworzy zabiły mnóstwo ludzi, bezpardonowo traktując natrętów, ale jeśli nie podchodzi się zbyt blisko (albo szybciej od nich pływa), można spróbować – a nawet wnuki będą nas podziwiali.

Całe burundyjskie wybrzeże Tanganiki kusi pustymi knajpkami, pięknymi plażami

i całkowitym odludziem. A jak ktoś chciałby popробować innych afrykańskich jezior, to odradzam największe Jezioro Wiktorii, za to serdecznie polecam jezioro Kivu w rwandyjskim Gisenyi.

Kategorią samą w sobie, zasługującą na osobne wspomnienie, jest nieprawdopodobne jezioro Malawi, w państwie o tej samej nazwie. O państwie tym słychać albo w tonacji aż nazbyt dramatycznej (gigantyczna populacja chorych na AIDS), albo buffo, jak w lutym, kiedy światowe media obiegrała wieść, że władze tego kraju chcą zakazać publicznego puszczania bąków.

O jeziorze nie słychać niemal wcale. I dobrze, dzięki temu Nkhata Bay nie przypomina jeszcze Giżycka w środku sezonu. A jak ktoś ma ochotę na kompletne odosobnienie, to polecam wysepkę Chizumułu lub nieco większą Likomę – u wybrzeży Mozambiku, ale wciąż należące do Malawi.

Wszędzie tam przenocujemy za kilkanaście dolarów, a dolecimy z Warszawy za kilka tysięcy złotych. Razem wyjdzie znacznie taniej niż Karaiby, a mina zawistnych kolegów z pracy na widok pocztówki z Burundi tudzież Malawi (dochodzą szybciej niż z Zakopanego) – bezcenna.



## 2. HOI AN (WIETNAM), MORZE POŁUDNIOWOCHIŃSKIE

Tu należy się pewna errata: samo Hoi An, choć nie straciło niesamowitego uroku takiego wietnamskiego Kazimierza, jest już cokolwiek zdeptane przez turystów. Sprzyja temu sława tutejszych krawców. To bowiem do Hoi An jeździ się dziś jak do Bangkoku kilkanaście lat temu – po tanie, ale znakomicie skrojone na miarę garnitury i koszule z najlepszych tkanin.

Ale gdy krawiec trzodzi się nad realizacją zamówienia, warto wybrać się nad morze. Kilometrowe, szerokie plaże złotistego piasku, przed nami piękne, ciepłe morze, z niesamowitymi, wielkimi falami, za nami palmowe gaje i mnóstwo małych knajpek. Nowe, czyste hotele po kilkanaście dolarów, miła obsługa. I wciąż nie ma tu Nekkermanna!

## 3. RYBACZIE (KIRGIZJA), JEZIORO ISSYK-KUL

Jeśli ktoś nie zwiedza Azji Środkowej z karabinem w rękę w poszukiwaniu guza lub taliba, co zwykle na jedno wychodzi (Afganistan) tudzież tanich narkotyków (Tadżykistan), to zapewne łązi po górach. Ale czasem opłaca się z nich zejść. Leżąca na wysokości naszej Śnieżki wioska (miasteczko, osada – niepotrzebne skreślić) o jakże oryginalnej nazwie Rybaczcie – nie nadaje się specjalnie do zwiedzania. To znaczy nadaje się, bo ma kilka świetnych garkuchni, w których co prawda nie należy spodziewać się śnieżnobiałych obrusów i zgiętych w pół kelnerów, ale lokalne jedzenie serwują znakomite. Niemniej, już posileni – nie mamy czego w Rybaczcie oglądać. Więc trzeba nad jezioro.

Opisać to trudno: lekko słona woda ma ciemną, granatową wręcz barwę, co aż nazbyt kiczowato kontrastuje z okalającymi jezioro ośnieżonymi szczytami Tien Szan. Obrzydliwie cukierkowy obrazek przełamuje tylko widok cokolwiek orientalnych tubylców i walają się wszędzie złom; tak, to piękny, dobrze nam znany krajobraz postsowiecki, a nie żadne tam Lugano.

Admiratorów tego typu klimatów zachęcam też do kąpieli w najgłębszym jeziorze świata – Bajkale. Najłatwiej dojechać do Listwianki, kilkadziesiąt kilometrów od Irkucka, ale plaże dla nowych ruskich są na południowym brzegu jeziora, na północ od Ułan Ude. O plażowaniu nad Bajkałem mówić jednak trudno, zważywszy, że w Siewierobajkalsku czasem kra pływa nawet w czerwcu, ale w końcu, dla chcącego...

Oczywiście żadna plaża świata nie umywa się nawet do prapolskiego Bałtyku. Wszak to tutaj „z tyłupies, „Głos Wybrzeża” w pysku niósł.” A tego żaden kundel z Bujumbury na pewno nie potrafi.

# Poznaj Świat

na

[www.poznaj-swiat.pl](http://www.poznaj-swiat.pl)



Kredyt w CHF...

# I NA NARTY

Tekst Elżbieta Pawełek



Najlepsze stoki narciarskie i słynne wyścigi konne na zamrożonym jeziorze. Szampan i białe trufle, hotele jak pałace i rolls-royce'y z szoferami dla wygody gości. W Sankt Moritz bawi się wielki świat. Jest zapach luksusu, szelest gotówki i towarzystwo z pierwszych stron gazet.



## ECH, KALINKA!

Parada rosyjskich dziewczyn w papachach to znak, że rosyjski sezon w „dziurze dla miliarderów” wciąż trwa.

Tak jak wypada bywać na pokazach mody u Karla Lagerfelda, tak w sezonie zimowym w dobrym tonie jest odwiedzić Sankt Moritz. Pojeździć na nartach, a przede wszystkim *sehen und gesehen werden*, jak mawiają Szwajcarzy, czyli obejrzeć i samemu dać się zobaczyć. Ci, którzy dopiero pracują na swój pierwszy miliard, mieszkają nad jeziorem, w skromniejszym Sankt Moritz Bad. Ci, którzy już się dorobili – po drugiej stronie w Sankt Mo-

ritz Dorf, którego cenom sprostać może jedynie kieszeń szejka. Brigitte Bardot narzekala, gdy jej trzeci mąż Gunter Sachs zabral ją na zimowe wakacje. „Nudziłam się śmiertelnie w tej dziurze dla miliarderów. Co ludzie widzą w takich miejscach, posępnych i horrendalnie drogich?” – pisała w swojej autobiografii. Co widzą, zrozumiała, gdy Sachs przedstawił ją cesarzowej Farah Dibie i szachowi Iranu.

## POGODA DLA BOGACZY

Dzisiaj do stałych bywalców kurortu należą król Szwecji Karol Gustaw, książę Monako Albert i Angela Merkel, która zwykle zatrzymuje się w spokojniejszej, sąsiedniej Pontresinie. Ostatnio w Kronenhofie, jedynym neobarokowym hotelu w Alpach, w którym każdy pokój jest inny, zdarzyło się, że w tym samym co Merkel czasie gościł Władimir Putin! Zbieg okoliczności, czy może politycy przy porannym szampanie i białych truflach chcieli omówić przyszłość Europy? Szwajcarzy, pytani o znane postacie odwiedzające Sankt Moritz, milczą jak zakłęci. Bo najbardziej oprócz pieniędzy cenią sobie... dyskrecję. Mimo to wiadomo, że wspaniałe rezydencje ma zarówno Silvio Berlusconi, jak i jeden z najbogatszych Polaków Jarosław Kulczyk. Ceny stumetrowych apartamentów zaczynają się od 2,5 mln CHF. Nie od rzeczy mówi się, że St. Moritz pośród alpejskich szczytów jest szczytem elegancji, snobizmu i luksusu.

Być może St. Moritz, nazwane tak na cześć św. Maurycego, nigdy nie stałoby się sławne, gdyby nie przedsiębiorczy Anglik Johannes Badrutt, który w 1864 r. wybudował tam hotel. Turyści chętnie przyjeżdżali latem na kuracje do miejscowych wód, ale przez resztę roku miejscowość świeciła pustkami. Zrozpaczony Badrutt, ponoszący coraz większe straty, zaproponował pewien układ angielskim dżentelmenom, którzy u niego gościli. – *Przyjedźcie Panowie zimą, a jeśli nie będziecie zadowoleni, pokryję wszelkie koszty związane z podróżą!* – miał powiedzieć Badrutt. Posunięcie okazało się genialne. Anglicy urzeczeni pięknem zaśnieżonej doliny Engadyny, w której przez 322 dni w roku świeci słońce, przedłużyli pobyt do Wielkanocy!

Pod koniec XIX w. Sankt Moritz przeżywało rozkwit. Było pierwszym zelektryfikowanym szwajcarskim miastem i uruchomiło tramwaj elektryczny. Otwarto tu pierwsze w kraju biuro turystyczne. W Sankt Moritz widywano zamożnych fabrykantów, arystokratów z całej Europy i całą plejadę gwiazd na czele z Marleną Dietrich, Charliem Chaplinem, Gretą Garbo i Audrey Hep-







burn. Urokowi tego miejsca nie oparł się też Alfred Hitchcock, który w hotelu Badrutta spędził swój miesiąc miodowy.

## IGRZYSKA I POLO

W 1928 r. miasto było na ustach całego świata – odbyły się tam drugie w historii (po Chamonix) Olimpijskie Igrzyska Zimowe. „Zorganizowany tam tydzień olimpijski przewyższył o niebo wszystko, co dotychczas w tym zakresie widziano” – pisała prasa sportowa. W 1938 r. w St. Moritz bawiła Leni Riefenstahl, słynna fotografka i przyjaciółka Hitlera, wówczas u szczytu sławy po nakręceniu filmu „Triumf woli”. Do stolika w noc sylwestrową przysiadł się reżyser Josef von Sternberg: *Do zobaczenia wkrótce, jeśli nie wybuchnie wojna* – powiedział na odchodnym. *Wojna, jaka wojna?!* – zdziwiła się Leni, filmująca nazistowskie parady.

W Hotelu Badrutt's Palace czas się zatrzymał. Lokaj jak dawniej usłużnie otwiera gościom drzwi. *No pictures!* – mówi spoglądając na nasze aparaty fotograficzne. Dyskretna obsługa. Na ścianach cen-



ne obrazy, w tym oryginalny Rafael i trochę pop artu – olbrzymie zdjęcie półnagiej piękności, przy którym panowie podnoszą brwi, a panie spuszczaają oczy. Na liście gości, których nie odstrasza 15 tys. CHF za noc, znaleźli się Claudia Shiffer i Robert de Niro. Warto czasem poczekać. Ceny spadają po sezonie nawet o 70% – tygodniowy pakiet ze śniadaniem i skipassem w pokoju dwuosobowym można wtedy dostać za pięć tysięcy franków. Do dys-

## MAGNES

**Zaśnieżona dolina Engandyny 150 lat temu zauroczyła grupę Anglików. Od tego czasu można liczyć kolejne zimowe złoty europejskich snobów.**

pozycji gości jest siedem restauracji, sala do brydża. Mamy szczęście, bo właśnie zwolniły się miejsca przy okrągłym stole na wprost olbrzymiego okna z widokiem na słynne jezioro Moritz.

Co roku staje się ono areną spektakularnych popisów koni i ich jeźdźców. Sezon zaczyna się wyścigiem „White Turf”, a zaraz potem można obejrzeć widowiskowe polo na śniegu. Jeźdźcy spinają konie, ściskają w dłoniach młotki (cienkie kije do gry), którymi w galopie uderzają w pomarańczową piłkę. Jeden z najdzikszych sportów świata ma w St. Moritz ponad 20-letnią tradycję. Śnieg tryska spod kopyt, konie rżą, zawodnicy w amoku krzyczą, omal się nie pozabijają, publiczność wstrzymuje oddech. Jak w tym tumultie udaje się trafić w piłkę? Czasem można zobaczyć na trybunach księcia Karola, który sam uprawia polo. Dawniej pojawiał się Jerzy Kosiński, autor „Malowanego ptaka”, który grze w polo poświęcił książkę „Gracz”.

## KROKODYLA CZAS ZACZAĆ

Można by sądzić, że w St. Moritz żyją sami Szwajcarzy. Nieprawda, w pięciotysięcznym miasteczku co trzeci mieszkaniec jest cudzoziemcem. Mówi się, że Portugalczycy opanowali restauracje, Włosi – branżę budowlaną, Niemcy – usługi medyczne, Argentyni – szkółki narciarskie. W centrum przy Piazza da Scuola wzrok przyciąga monumentalny gmach Biblioteki. Kuszą bary z muzyką, słynna kawiarnia „Hanselmanna” z czekoladą na gorąco i restauracja Markusa Hausera serwująca co wieczór dania z kamiennego grilla. Każdy sam wybiera ulubione kęski, a potem dogląda je podczas smażenia. Wybór duży, od pospolitego indyka poczynając, a na krokodylu kończąc. Można zamienić to na tradycyjne fondue – tu każdy macza swój kawałek chleba we wrzącej masie serowej, a smakosze radzą zanurzać wpraw w kieliszku ze sznapssem!

Jeśli znudzi się kuchnia, można puścić się w wir zakupów. Dolce&Gabbana, Cartier, Jet Set Fashion dla dużych i Jet Set Kids dla małych klientek, Bernie’s Uomo dla eleganckich mężczyzn. Choć na ulicach przeważają narciarze w kombinizonach, między nimi zobaczyć można damy w bajecznie drogich futrach. To klientela słynnych hoteli Kulm, Badrutt’s Palace i Kempinski, który po gości wysyła rolls-royce’a z szoferem.

## ZJEDZ I ZJEŹDŹAJ

Tym, co najbardziej przyciąga do St. Moritz, są jednak zimowe sporty – ponad 150 dyscyplin. Królują bobsleje (tutejszy Cresta Run to pierwszy w świecie naturalny tor), curling, hokej, narciarskie maratony

biegowe na zamrzniętych jeziorach, a przede wszystkim narciarstwo alpejskie. Najlepsze narciarzki ścigają się w Pucharze Świata. Pozostali mają do wyboru 350 km wspaniałych nartostrad (sześciodniowy karnet za 358 CHF).

Ośrodków narciarskich jest kilka. Największy z nich to Corviglia, gdzie zjeżdża się z najwyższego szczytu Piz Nair (3000 m n.p.m.). Większość z 30 tras jest stroma, choć ze względu na ich perfekcyjne przygotowanie, nie jest to wielkim pro-







blemem. A bary na stokach, zwłaszcza te u Reto Mathisa są świetne. Amatorzy jazdy *off piste* zwykle wypuszczają się na stoki nieco dalszej Diavalezzy, żeby zjechać z lodowca Morteratsch dziesięciokilometrowym szlakiem. Można susować też ubitymi nartostradami w otoczeniu folderowych pejzaży – góry, góry aż po horyzont i słońce.

Jeśli sił w nogach starczy, trzeba wybrać się na piątkową „Snow Night” do ośrodka Corvatsch (25 CHF). Świetnie oświetlona pięciokilometrowa tra-

sa czynna do drugiej w nocy jest najdłuższą taką nartostradą w Szwajcarii. Posiłek na górnej stacji Corvatsch Murtel, a potem w dół. W pół drogi obowiązkowy postój przy Hossa Bar – najlepsza muzyka na stokach i najlepsze grzańce przy księżycu. Najbardziej pożądanym drinkiem to „Sankt Moritz”, posmak tutejszego luksusu. Kruszony lód, wódka o smaku czarnej porzeczki i szampan w proporcji 3:1. Do tego syrop miętowy i pestki. Po czymś takim narty same zdają się skręcać. ○

**WIŚTA WIO PO JEZIORZE**  
Oglądanie konnych zawodów na zamrożonej tafli jeziora Moritz to jedna z wyrafinowanych rozrywek kurortu.

AMERYKA POŁUDNIOWA | Wenezuela

Nocny spektakl burz czerwonych

# CATATUMBO!

Tekst Izabela Stachowicz

## NOCNY SPEKTAKL

Błyskawice  
rozświetlające  
niebo nad Ologą.



KOMARY JAK GOŁĘBIE, GOŁĘBIE JAK ORŁY, BURZE JAK CATATUMBO! TAK, TO TROPIKI. JUŻ SAMO BRZMIENIE SŁOWA „CATATUMBO” ZAPOWIADA EMOCJE.

Europejski turysta, przybywając do Wenezueli, zmierza zwykle w kierunku najwyższego wodospadu świata – Salto Angel, położonego w Parku Narodowym Canaima, dostępnego tylko z wody lub powietrza. Ewentualnie – na 2810-metrowe tepui – Roraima, uznawane przez Indian za miejsce pochówku bogów.

Tymczasem, na północno-zachodnim krańcu ogromnie zróżnicowanego biogeograficznie kraju, leży jezioro Maracaibo. Geomorfologicznie jest ono częścią morza, ponieważ 55-kilometrowa cieśnina łączy je z Zatoką Wenezuelską, a tym samym – z Morzem Karaibskim. Jednak, w dużej części, wody tego ogromnego zbiornika są wysłodzone, między innymi dzięki wpływającej do niego Rio Catatumbo.



## DZIWNNE MIEJSCE

Co też niezwykłego dzieje się nad tym jeziorem? Wyobraźcie sobie największą burzę swojego życia, pomnóżcie trzy i ściszcicie głos prawie do minimum: Oto Catatumbo, zwane też Relámpago de Catatumbo – zjawisko meteorologiczne, którego największe nasilenie występuje właśnie w okolicach ujścia rzeki w Parku Narodowym o tej samej nazwie. Leżąc w hamaku, w ciepłe zimowe noce (największe nasilenie zjawiska występuje w okresie od maja do września, czyli podczas wenezuelskiej zimy) możemy czytać książki przy „burzowym” świetle. Catatumbo to największy na świecie agregat ozonu, powstającego podczas wylądowań atmosferycznych.

## ZDERZENIA ŻYWIÓŁÓW

Istnieją różne hipotezy tłumaczące fenomen Catatumbo. Najbardziej prawdopodobna z nich wskazuje jako przyczynę niezwykle ukształtowanie terenu. Otóż, ogromną powierzchnię 14 343 km kw. wody otaczają Andy Wenezuelskie. Od zachodu – łańcuch górski Sierra de Perija, zaś od południa i wschodu – Cordillera de Mérida.



### ZŁAPAĆ KOMARA

Po skończonym nocnym spektaklu wszyscy odpoczywają w hamakach, koniecznie z moskitierami! Chmary komarów wykorzystują każdy centymetr kwadratowy ciała, by się opić. W obszarze Jeziora Maracaibo nie ma jednak zagrożenia malarią.

### KONGO, JAK WENECJA

Miasteczko Kongo w regionie Zuliana o zachodzie słońca.







### ROZCIĘTA CISZA

Jedynie dźwięk silnika przerywa ciszę nad wodami jeziora Maracaibo. Ludzie przemierzają parędziesiąt kilometrów dziennie, aby dostać się do cywilizacji.

### M-5 NA PALACH

W takich domach mieszkają liczne rodziny. Gdy burza nie przyjdzie w nocy, to o poranku pojawia się huragan. Wtedy warto być pod dachem.

W wyniku różnicy nagrzewania się mas powietrza nad wysokimi górami i taflą jeziora – podczas dnia w górach panuje niż, natomiast nad wodą – wyż. W nocy sytuacja drastycznie się zmienia: wyż i niż zamieniają się miejscami, ze względu na różnice w szybkości oddawania ciepła przez ląd (szybko) i wodę (wolno). Wówczas ogromne masy powietrza spływają po stokach górskich, a w wyniku ich zderzenia z ciepłym powietrzem nad wodą – dochodzi do spektakularnych wyładowań.

Często pułap chmur jest tak wysoki lub są one tak daleko, że nie słyszymy nad głową dźwięku rozdzieranego prześcieradła, a tylko jakby ciche burczenie w brzuchu. To jednak nie umniejsza skali zjawiska!

Miejscowi Indianie mówią o czerwonych burzach, które poprzedzają pojawienie się „normalnych” wyładowań. Czerwony kolor pioruny zawdzięczają ponoć metanowi, który w ogromnych ilościach wytwarzany jest przez gnijącą materię organiczną z podmokłych lasów i bagien Parku Narodowego Ciénagas del Catatumbo. Pioruny wskazywały niegdyś żeglarzom południe. Jednak w ostatnim czasie, w niewiadomych przyczyn, nie robią tego już tak dokładnie.

### MIĘDZY MORPHO A CALIGO

Dostępny tylko drogą wodną Park Narodowy Ciénagas del Catatumbo ma wiele do zaoferowania. Nie jest on popularny i trudno tu znaleźć łódkę pełną turystów.

Tropikalna przyroda podmokłych lasów jest wyjątkowa: ogromne, metalicznie niebieskie motyle Morpho, do spółki z wielkimi Caligo – szybko i zwinnie przelatują nad głowami. Wtopione w bujną zieleń ptaki – czaple, orły, sępy i papugi –





## MOTYL W KOLORZE METALIC

Zestawienie kolorów wielkiego motyla z rodzaju *Morpho* mógłby zainspirować niejednego samochodowego designera.

z trudem dają się zauważyć. Nie mówiąc już o prawie niewidocznych kajmanach i zawsze się maskujących ogromnych, zielonych legwanach.

Płynąc, można poczuć zapach prawdziwego lasu galeriowego i... rozkładającego się mięsa. Skąd ten odór? Otóż, tutejsza ludność trudni się głównie połowem krabów, co nikogo nie dziwi w sąsiedztwie wielkiego, obfitego przyrodniczo jeziora. Metoda jest jednak niezwykła, gdyż do rozwieszanej – zamiast sieci – liny przywiązane są... głowy kurczaków, będące przysmakiem krabów.

Niewykorzystane przynęty – tysiące kurzych głów – trafiają do lasu.

Mieszkańcy tego rejonu do najbliższego miasta mają około 50 km drogą wodną. Nie dziwi więc fakt, że dzieci kończą edukację już na podstawówce, a potem zajmują się połowami.

Pierwsi Europejczycy zobaczyli w tych stronach całe miasta domów na palach – palafitos. Życie w palafitos nie jest łatwe. Do sklepu, do sąsiada czy po suszące się pranie ludzie wypływają łódkami. Małe, blaszane baraki mieszczą całe rodziny i tak np. w miasteczku Kongo jest ok. 300 osób mieszkających w 50 „domach”. Ale, jak to wyluzowani Latynosi, niewidzący problemu w stresujących nas zwykle sytuacjach – chętnie pogadają o wszystkim i... zawsze o pogodzie. Prorokowanie, jak mocne będą dziś wyładowania – jest ulubionym zajęciem podczas leniwych popołudni.



## A TE OCZY MOGĄ KŁAMAĆ

Motyl z rodzaju *Caligo* udaje sowę, by uchronić się przed atakiem drapieżników.

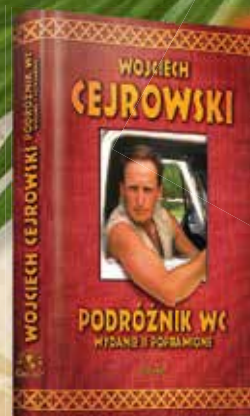
## KTÓREJ DO CATATUMBO

Aby dostać się do południowej części jeziora, gdzie skala zjawiska jest największa, najlepiej rozpocząć podróż w Meridzie, wenezuelskim centrum fest wszelakich. Podczas mojej podróży dotarliśmy do miasteczka Concha. Po przebyciu 57 km łódką na północny-zachód, początkowo przez sztucznie wykopany kanał, a potem przez jezioro, dotarliśmy do małej miejscowości Ologa. Można spędzić noc tam lub w sąsiednim Kongo. Możliwe jest wykupienie zorganizowanej wycieczki już w Meridzie lub – tradycyjnie – można próbować wynająć łódź w którejś z miejscowości nad jeziorem. Jednak nie jest to popularne miejsce (co jest jego niewątpliwą zaletą), więc na rozbudowaną infrastrukturę turystyczną nie ma co liczyć. ○





## KSIAŻKI POD PATRONATEM „POZNAJ ŚWIAT”

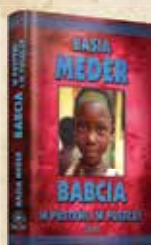


Wojciech Cejrowski  
**PODRÓŻNIK WC**  
format: 145 x 205 mm

**NOWOŚĆ!**  
W sprzedaży  
już w grudniu!



Basia Meder  
**BABCIA W AFRYCE**  
format: 145 x 205 mm  
cena: 45 zł



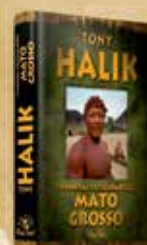
Basia Meder  
**BABCIA W PUSTYNI  
I W PUSZCZY**  
format: 145 x 205 mm  
cena: 45 zł



Antonio Halik  
**180 000 KILOMETRÓW  
PRZYGODY**  
format: 145 x 205 mm  
cena: 35 zł



Antonio Halik  
**JEEP. MOJA WIELKA  
PRZYGODA**  
format: 145 x 205 mm  
cena: 44 zł



Antonio Halik  
**Z KAMERĄ I STRZELBĄ  
PRZEZ MATO GROSSO**  
format: 145 x 205 mm  
cena: 40 zł



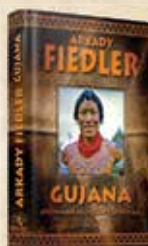
Wojciech Cejrowski  
**GRINGO WŚRÓD  
DZIKICH PLEMION**  
format: 145 x 205 mm  
cena: 35 zł, 49 zł (zapachowa)



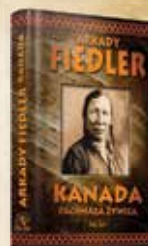
Wojciech Cejrowski  
**RIO ANAKONDA**  
format: 145 x 205 mm



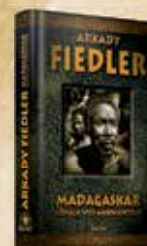
Arkady Fiedler  
**DYWIZJON 303**  
format: 145 x 205 mm  
cena: 40 zł, 14,50 (opr. miękka)



Arkady Fiedler  
**GUJANA. SPOTKAŁEM  
SZCZĘŚLIWYCH INDIAN**  
format: 145 x 205 mm  
cena: 40 zł



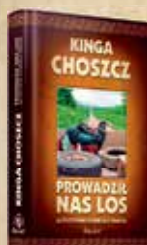
Arkady Fiedler  
**KANADA  
PACHNĄCA ŻYVICĄ**  
format: 145 x 205 mm  
cena: 45 zł



Arkady Fiedler  
**MADAGASKAR. GORĄCA  
WIEŚ AMBINANITEŁO**  
format: 145 x 205 mm  
cena: 49,90 zł



Bolesław A. Uryn  
**MONGOLIA. WYPRAWY  
W TAJGĘ I STEP**  
format: 145 x 205 mm  
cena: 42 zł



Kinga & Chopin  
**PROWADŹ NAS LOS.  
AUTOSTOPEM DOKOŁA ŚWIATA**  
format: 145 x 205 mm  
cena: 37,50 zł



Kinga Choszcz  
**MOJA AFRYKA**  
format: 145 x 205 mm  
cena: 44 zł



Michał Kruszone  
**RUMUNIA. PODRÓŻ  
W POSZUKIWANIU DIABŁA**  
format: 145 x 205 mm



Robb Maciąg  
**ROWEREM PRZEZ CHINY,  
WIETNAM I KAMBODŻĘ**  
format: 145 x 205 mm



Jacek Pałkiewicz  
**SYBERIA. WYPRAWA  
NA BIEGUN ZIMNĄ**  
format: 145 x 205 mm

Wydawnictwo „Bernardinum”, ul. Bpa Dominika 11, 83-130 Pelplin  
tel.: 58 531-64-81, 58 536-17-57, fax 58 536-17-26, kom. 662-014-683

e-mail: zakupy@bernardinum.com.pl • www.ksiegarnia.bernardinum.com.pl



AMERYKA POŁUDNIOWA | Boliwia

# TAM, GDZIE HULA WIATR

Tekst: Olga Pietkiewicz





JESZCZE JAKIEŚ STO LAT TEMU NIE MIESZKAŁ TU PRAWIE NIKT.  
NAWET ODPORNI NA ZIMNO I PRYZYWCZAJENI DO DUŻYCH  
WYSOKOŚCI INDIANIE AJMARA OMIJALI TEN KRANIEC BOLIWI  
Z DALEKA. NIE CHCIELI ŻYĆ NA WYZIĘBIONEJ I SŁONEJ PUSTYNI,  
PONAD TRZY I PÓŁ TYSIĄCA METRÓW NAD POZIOMEM MORZA.  
W MIEJSCU, KTÓRE MOGŁOBY BYĆ JEDNYM Z KOŃCÓW ŚWIATA.  
NAZWALI JE UYVINTO, CZYLI: **TAM, GDZIE WIEJE WIATR.**

#### **NA ODLUDZIU**

Na obrzeżach solaru  
porywiste wiatry, słońce,  
ruchy tektoniczne  
i wulkaniczne podłoże  
utworzyły księżycowe  
krajobrazy.



### OTWARTE PRZESTRZENIE

Najbliższe okolice miasteczka Uyni.

**N**a początku XIX wieku wszystko się zmieniło. Niechciane miejsce na bezdrożach andyjskiego płaskowyżu nagle stało się ważne. Właśnie tu skrzyżowały się trzy największe w tej części Ameryki Południowej linie kolejowe, łączące Boliwię, Argentynę i Chile. Transportowano nimi z głębi kontynentu do portów nad oceanem przynoszące spore zyski surowce mineralne. W tamtych czasach, położone niedaleko Potosi było ogromnym zagłębiem srebra, swego rodzaju eldorado. W Uyuvinto, czy – jak się później przyjęło – Uyni, powstała osada. Zbudowano pierwsze domy, kościół i oczywiście stację kolejową.

### TYLKO SÓL

Dziś Uyni jest znów cichym i melancholijnym miasteczkiem. Ożywia się tylko rano, kiedy agenci biur podróży otwierają swoje kolorowe kantorki, nama-

wiając turystów na wycieczkę do solaru – tej słoneż pustyni, która przez setki lat odstraszała nawet odważnych Indian. Czasy świetności minęły tak samo szybko, jak stracił na znaczeniu transport kolejowy. Jediną pamiątką po tym okresie jest znajdujące się pod miasteczkiem cmentarzisko starych pociągów.

Zużytych lokomotyw nigdy nie naprawiano, po prostu przywożono kolejne.

– *Gdy coś umiera, to zawozi się to na cmentarz* – śmieje się Juanito, miejscowy kierowca dziupa, który od pięciu lat obwozi po okolicy przyjezdnych. – *No i zostały, a teraz wszyscy chcą je oglądać*. Dla niego ten dziwny relikw przeszości jest świetnym magnesem na turystów. Podobnie zresztą, jak solar.

Ogromna pustynia, rozciągająca się na przestrzeni 9 tysięcy kilometrów kwadratowych, jest pozostałością po czasach, kiedy był tu jeszcze ocean. Potem, wraz z wypiętrzającymi się Andami, powstało prehistoryczne jezioro. Teraz jest tylko sól.

### A GÓRY WISZĄ...

Dzięki refleksom słońca, czubki okolicznych wulkanów zdają się lewitować w powietrzu, zawieszzone – wbrew prawom grawitacji – nad tą gigantyczną taflą soli. W porze deszczowej, na twardej powierzchni solaru gromadzi się płytka, kilkudziesięciocentymetrowa warstwa wody. Żyje własnym życiem: pulsuje, bulgocze – w miejscach, w których łączy się z podziemnymi prądami.

Wydaje się wtedy wrzeć, jest jednak zimna. I słona. Bąble są tylko efektem ciśnienia. Biała, mieniąca się płaszczyzna rozciąga się we wszystkie strony, aż po horyzont. Jedynym punktem odniesienia są tu szczyty gór – i tak przecież wiszące w powietrzu. Działające tu siły elektromagnetyczne powodują, że kompasy odmawiają posłuszeństwa.

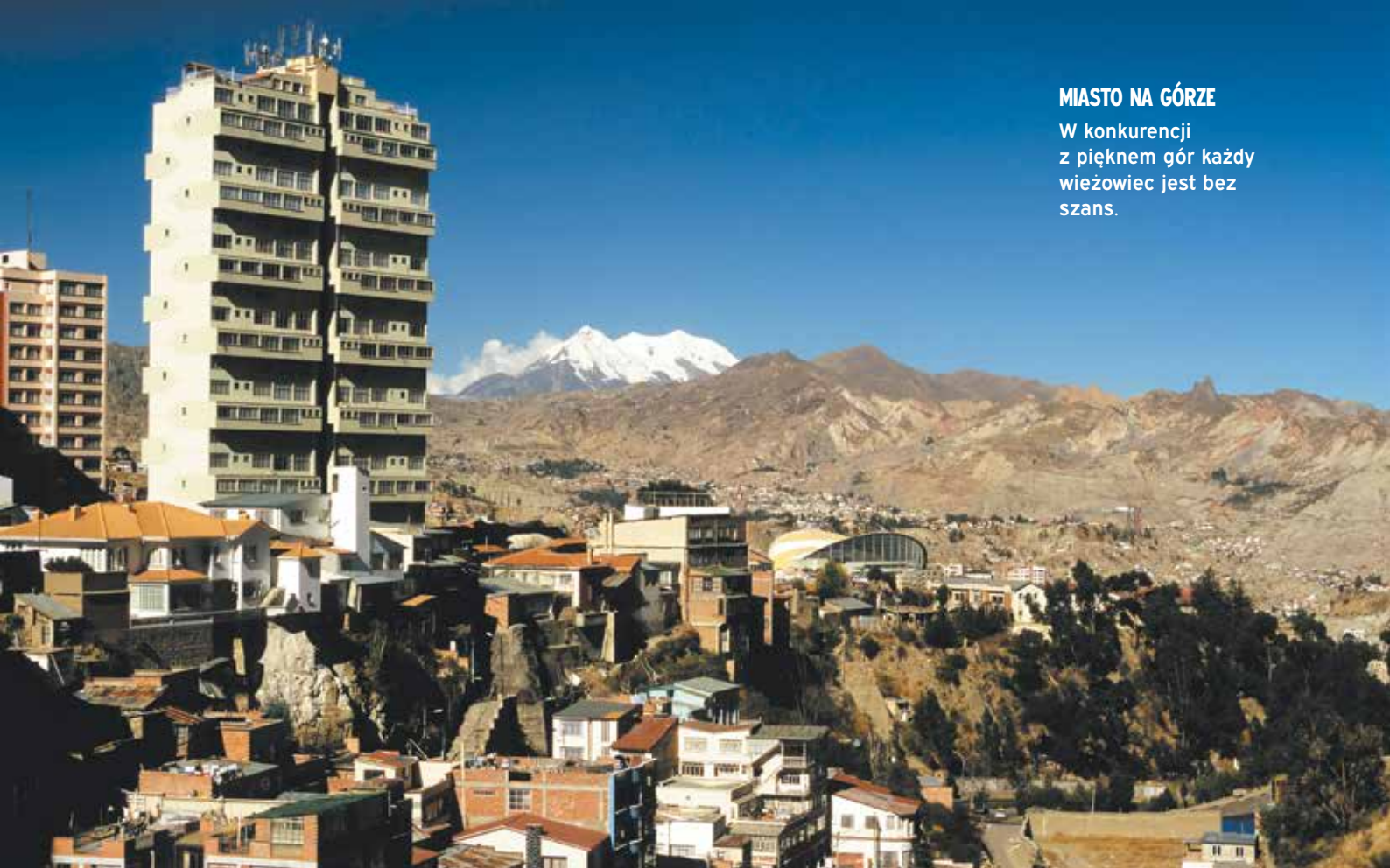
### WYSPA RYBAKÓW

Na powierzchni solaru jest 14 wysp. Najczęściej odwiedzana jest Incahuasi, wyspa rybaków. Śmieszny, surrealistyczny placek lawy, sterczący pośrodku białej plamy i porośnięty ogromnymi kaktusami. Dlaczego rybaków?

– *Bo wygląda, jak wyspa rybaków, i już!* – odpowiada Juanito, który nigdy nie widział morza. Ma 24 lata, sprawia jednak wrażenie starszego, zmęczonego życiem.

W ciągu dnia bywa ciepło, temperatury dochodzą do 18 stopni Celsjusza, wieją jednak wiatry, dochodzące do 90 kilometrów na godzinę. W nocy





## MIASTO NA GÓRZE

W konkurencji z pięknem gór każdy wieżowiec jest bez szans.

temperatura spada poniżej zera. Ludzie mieszkają w domach z cegły, którą wypalają z błota. Prądu zwykle nie używają, bo baterie słoneczne są dla nich zbyt drogie. Wodę doprowadzają tylko do miejsc, gdzie zatrzymują się na noc turyści. Sami nie myją się zbyt często. Tłumaczą, że łatwo się rozchorować, kiedy na dworze jest tak zimno. Tak naprawdę, rzadko kogo stać na butle z gazem.

## TAM, GDZIE WIATR

Miliony lat temu, cofający się ocean pozostawił tu nie tylko największe znane na świecie zasoby soli. Na obrzeżach solaru porywiste wiatry, słońce, ruchy tektoniczne i przede wszystkim wulkaniczne podłoże – stworzyły księżycowe formacje skalne, nieprawdopodobne krajobrazy i kolorowe laguny. Te dziwne, wysokogórskie jeziora mienia się teraz wieloma kolorami tęczy: od białego, poprzez zieleń – aż po czerwień, w zależności od minerałów znajdujących się w ich wodach. Na brzegach tych nieprzyjaznych ludziom wód żyją zwykle pelikany, żywiące się planktonem.

Krajobraz zmienia się, jak w kalejdoskopie, kiedy dżip pokonuje różnice wysokości pomiędzy

położonym na ponad trzech tysiącach metrów solarem a wyższymi partiami terenu, znajdującymi się powyżej pięciu tysięcy metrów.

Juanito wydaje się być stworzony do życia w miejscu, gdzie inni ludzie ledwo oddychają.

– *To dzięki liściom koki* – teraz śmieje się już szeroko, wskazując na swój nieodłączny woreczek z lokalnym panaceum na wszystko: począwszy od choroby wysokościowej, a skończywszy na bólach żołądka i depresji.

Gdy ponownie zjeżdżamy na poziom solaru, góry wciąż zdają się wisieć w powietrzu. Solar hipnotyzuje. Chce się iść dalej, w głąb białej pustki. Tam, gdzie wciąż wieje wiatr. ○



## LAMY W SOLARZE

Lamy świetnie radzą sobie w surowych warunkach boliwijskich gór.





Senegal

# REGGAE

MIMO WSZYSTKO



## MUZYKA ŁAGODZI

Życie wydaje się tu łatwe, a wszyscy są bardzo przyjaźnie nastawieni wobec obcych.



Ten zachodni kraniec Afryki rozbrzmiewa rytмами reggae, a każdy Senegalczyk ma duszę artysty. Trudna kolonialna przeszłość, handel niewolnikami ani obecna bieda i bezrobocie nie przyćmiły jego pogodnego oblicza. Może właśnie dlatego Senegal całkiem zawrócił nam w głowie.



– Rekinów nie jadamy. Ale łowimy je na sprzedaż do Gambii, Gwinei i Wybrzeża Kości Słoniowej – tak Lama, chłopak, którego poznajemy w Cap Skirring, nadmorskim kurorcie na południu Senegalu, objaśnia nam zwyczaję tutejszych rybaków. – Złowione ryby trafiają wprost do garnka albo do suszenia. Dopiero wysuszone idą na eksport. W takich temperaturach nie ma innej rady. Na chłódnie nie mamy pieniędzy.

Pomagamy rybakom wyciągnąć na plażę jedną z piróg. Dopiero co złowione małe rekiny nie wyglądają groźnie, przypominają raczej pluszowe zabawki. Rekiny nie stały się przysmakiem senegalskich stołów, bo budzą w Senegalczykach obrzydzenie i strach.

Niejedno dziecko płakało po stracie ojca, który nie wrócił z połowu. W spotkaniu z rekinem nie pomagają żaden fetysz, chociaż rybacy mają je w swoich pirogach.

Tekst: **Magda i Mirosław Osip-Pokrywka**





## MAŁY KRAJ, DUŻA PIŁKA

Senegal to w Afryce  
piłkarska potęga.  
Raz na cztery lata  
przekonuje się  
o tym także reszta  
świata.

Kobiety, które uczestniczą w oporządzaniu sieci, kiwiają potakująco głowami. Rozglądamy się wokoło. Poza kilkudziesięcioma stołami do obróbki i suszenia ryb widzimy tylko wylegające się na plaży krowy. Cap Skirring w regionie Casamance to osada rybacka, a jednocześnie ekskluzywny kurort dla turystów z całego świata. Stare sąsiaduje tu z nowym – tylko, że to nowe jest szczelnie zamknięte w enklawach tworzonych przez hotele należące do sieci ClubMed i innych firm spoza Afryki.

Do regionu Casamance dopłynęliśmy promem. Po tragedii w 2002 roku, kiedy przeładowana i będąca w fatalnym stanie technicznym „Le Joola” zatonięła z 1863 pasażerami na pokładzie – procedury na promach są drobiazgowo przestrzegane. To była jedna z największych katastrof w historii żeglugi cywilnej. Teraz obsługa nie pozwala wnieść na pokład choćby małej kuchenki gazowej. Nasza w końcu jedzie z nami, ale nie w bagażniku samochodu, jak dotychczas, lecz w osobnym, zamkniętym na kłódkę i przewiewnym kontenerze.

## MARZENIE O JEDNOŚCI

Choć Senegal jest krajem demokratycznym i cieszy się wolnością, życie w tym kraju nie jest łatwe. Bezrobocie wynosi prawie pięćdziesiąt procent, czyli

niemal sześć milionów ludzi jest bez pracy. 84-letni prezydent Abdoulaye Wade, który sprawuje urząd od ponad dziesięciu lat, nie spełnił wielu pokładanych w nim nadziei.

– *Jest już za stary, zapomniał, co obiecywał* – mówi z żalem Ndiogou, policjant, którego podwozimy „na stopa” do żony. Jego rodzina cierpliwie znosi rozłąkę, bo wiadomo – pracuje się tam, dokąd wysyłają przełożeni. Teraz dzieli go od domu sześćset kilometrów. To olbrzymi dystans, szczególnie w Afryce, w której drogi są złe. Następne wybory będą w 2012 roku. Jeśli nie pojawi się dobry kontrkandydat, Wade zostanie wybrany na trzecią kadencję – prorokuje policjant.

Prezydent zabiega dziś o poparcie młodego elektoratu. Obserwatorzy uważają, że krokiem w tym kierunku było wyróżnienie przez niego megagwiazdy muzyki pop o imieniu Akon. Otrzymał on honorowy (i raczej czysto symboliczny) tytuł Ambasadora Dobrej Woli przyznawany przez władze Senegalu ludziom zasłużonym w budowaniu jedności w krajach Afryki. Jak podają afrykańskie media, obu łączy ten cel.

Akon pochwalić się może nawet przebojem o tytule Mama Africa, który zdaje się mówić mieszkańcom całego kontynentu: bądźmy jedynymi, mamy przecież wspólną matkę, Afrykę.



## MUZULMANIE W RYTMIE REGGAE

94% mieszkańców tego kraju jest wyznania mułmańskiego, 5% to katolicy, a 1% – animiści. Wszystkich ich łączy radość życia i... reggae!

– *Ciągle jesteśmy podzieleni. Mimo że to jeden z największych kontynentów, my nigdy nie trzymamy się razem* – skarżył się w jednym z wywiadów artysta urodzony w Senegalu, ale do niedawna jeszcze mieszkający w USA.

## KRAINA BASSARI

Podróż do Kedougou, bazy dogodnej do wypadu w góryste tereny Bassari, przerywana jest krótkimi postojami. Co jakiś czas na drogę wchodzi małpy i trzeba czekać, aż zejść z jezdni. Gdy pytamy w mieście o przewodnika, spotykamy Hassana. Słyszając o możliwości zarobku, uradowany, omal nie spada z roweru.

Osiem euro za dzień – tyle kosztuje wynajem przewodnika, który może poprowadzić nas do wiosek, zamieszkiwanych przez plemiona Bedick i Fula. Trzeba jeszcze zabrać ze sobą dary dla lokalnej społeczności. Hassan doradza kupno na targu orzeszków kola.

– *Ze wszystkich plemion Senegalu właśnie tutaj zachowały wyraźną odrębność kulturową. Zarządzają to trudno dostępnymi miejscami, w których żyją* – tłumaczy nam Hassan, gdy idziemy pod górę.

Mieszkańcy Bassari wiodą życie proste, ale szczęśliwe. Dach nad głową zapewniają im kryte bambusem lepianki. Utrzymują się z roli i hodowli zwierząt. Są samowystarczalni – w zasadzie cywilizacja nie jest im potrzebna. Wolny czas lubią spędzać w grupie. Siadają pod otaczanymi wielką czcią starymi baobabami. Snują opowieści, pijąc słodką herbatę i równie słodki kompot z bissapu lub piwo z manioku. Rodzina i przyjaciele – to przede wszystkim czyni ich szczęśliwymi.

Rodzina jest zazwyczaj liczna, bo to jedyne miejsce w Senegalu, gdzie mężczyźni mają po kilka żon.

Na pożegnanie, choć to w istocie drobiazg, przydałoby się trochę orzeszków kola. Spory ich zapas w zastraszającym tempie znika z naszych plecaków. Nie bez powodu Hassan kazał nam je kupić. Wszyscy starsi z wioski wciąż się o nie dopominają.

– *Przynoszą im „dobre myśli”* – mówi Hassan, mając na myśli halucynogenne właściwości orzeszków.

Jednak nawet ciesząc się prostym życiem mieszkańcy Bassari mają powody do zmartwienia. Młodzi coraz częściej poszukują czegoś więcej. Ciągnie ich świat i wyjeżdżają. Najczęściej do



**JAK PRZED LATY**

Od kiedy  
Portugalczyki  
odkryli Senegal  
w XV wieku,  
niewiele się tu  
zmieniło.

odległego Dakaru, senegalskiego eldorado, które mamy dostatnim życiem, możliwościami nauki i samorealizacji. Jednak nie wszystkim się udaje. Konkurencja na rynku pracy jest duża: coraz częściej potrzebna jest wyszkolona kadra. Wygrywają najlepsi – ci, którzy nie liczą tylko na łut szczęścia, ale szybko się uczą i mogą chwycić pojawiającą się szansę. Rosną kontrasty społeczne: z jednej strony luksusowe hotele i eleganckie samochody, z drugiej – dzieci ulicy śpiące na kartonach, pracownicy zmuszani do katorżniczej pracy w tkackich manufakturach i biedni rybacy w cuchnącym porcie, gdzie przy pomocy kołyszają się ciekące pirogi.

Szum Atlantyku, słyszany przez nas nocą w namiocie rozstawionym na plaży, długo nie daje nam zasnąć. Ten sam dźwięk, być może po raz pierwszy w życiu, słyszeć musieli afrykańscy

niewolnicy przywożeni z głębi kontynentu, przed daleką podróżą statkiem do Ameryki. To właśnie na senegalskim wybrzeżu, w najdalej wysuniętym na zachód rejonie Afryki, handlarze niewolników organizowali punkty przerzutowe.

Smutny los ofiar upamiętnia dziś Brama bez Powrotu, drzwi przez które mieli przechodzić niewolnicy przed załadunkiem na statek. Znajduje się na Île de Gorée, wyspie oddalonej o dwadzieścia minut rejsu promem od Dakaru. Choć trwają spory co do jej autentyczności (punkty przeładunkowe były prawdopodobnie gdzie indziej) – wysepka sama w sobie jest warta odwiedzenia. Uroku dodają jej kolorowe domki, dzieciaki beztrosko kąpiące się w morzu lub grające w piłkę, piękne Senegalki handlujące pamiątkami oraz tętniące życiem kafejki i restauracje.







## PRZEZ MORZE ZA SZCZĘCIEM

Wielu chciałoby opuścić Afrykę i emigrować na Zachód. Z tego miejsca do Wysp Kanaryjskich emigranci mają do przebycia blisko półtora tysiąca kilometrów.

## GUSTAVE EIFFEL I PRZEMYTNIICY

Paradoksem jest, że dwieście kilometrów na północ od Île de Gorée z jej symboliczną Bramą bez Powrotu upamiętniającą wywózki niewolników do Nowego Świata, znajduje się inne miasto, do którego dziś ściągają licznie ci, którzy sami chcą opuścić Afrykę i emigrować na Zachód. Port Saint-Louis jest główną bazą przerzutową nielegalnych emigrantów na Wyspy Kanaryjskie. Przebycie blisko półtora tysiąca kilometrów zajmuje rybackim pirogom około pięciu dni. Wymykają się nocą z portu, niczym łodzie szmuglerskie. Nie wszystkie docierają do celu – co nie dziwi, jeśli weźmie się pod uwagę ich opłakany stan. Wylewanie wody wiaderkiem nie wystarcza podczas sztormu...

Saint-Louis, uchodzące niegdyś za najbogatsze miasto Afryki Zachodniej, wita podróżnych

długą, rdzewiejącą konstrukcją łukowego mostu, zaprojektowanego przez samego Gustava Eiffla. Siedemnastowieczny francuski port handlowy zachował wiele z atmosfery ośrodka kolonialnej władzy, choć budynki swój czas świetności mają już dawno za sobą. Od tamtej pory chyba nikt nie próbował ich odnawiać.

Schedą po czasach kolonialnych są tu też liczne piekarnie bagietek. Francuskie bułki, w gorącym i suchym klimacie już po kilku godzinach zmieniają się w twarde suchary. To drobnostka z rodzaju tych, na jakie nikt tu nawet nie zwraca uwagi. Senegalczycy mają w sobie coś, co w każdej sytuacji pozwala im odnaleźć jasną stronę życia. O koszmarze handlu niewolnikami przypominają już tylko muzea i turystyczni przewodnicy, którzy powtarzają tragiczną historię w niezliczonych językach. ○





**KANGUR WITA**

Wszędobyłskie torbacze to „znak firmowy” tego zakątka świata.





# 13

Tekst Monika  
Oksza-Strzelecka

# kilometrów do Raju



Tego popołudnia cała załoga statku została zaangażowana do oprawiania kangurów oraz do wybornej uczty, na którą sobie pozwolili po czterech miesiącach niemal całkowitego pozbawienia świeżej żywności. Pół cetnara głów, ćwiartek i ogonów zostało uduszone w zupie na dzisiejszy obiad oraz na kolejne dni. Podano też tyleż steków – zarówno oficerom jak i całej załodze – ile tylko mogli zjeść za dnia i w nocy. W podziękę za dostarczone w samą porę zapasy, nazwałem ten południowy ląd Wyspą Kangura.



zupełnie niezamieszkaną. Całkiem niepłochliwe kangury oraz foki baraszkuje tuż przy brzegu ostatecznie przekonały ich o tym, że człowiek tu nie mieszka.

## 13 KM DO RAJU

Tak było ponad 200 lat temu: dziki kawałek lądu, pozbawiony ludzkiej ingerencji. Od tego czasu wyspę zaczęli zasiedlać zbiedzy, skazańcy i rzeźmieszkowie. W efekcie – przez długi czas miała ona reputację najbardziej zdeprawowanego miejsca w brytyjskim imperium. Dopiero od ok. 1827 roku zapanował tu spokój.

Dzisiaj, mimo że Wyspa Kangura nie jest już wyłącznym królestwem flory i fauny, to i tak potrafi zaskoczyć swym dzikim obliczem i bogactwem nieskażonej przyrody.

Fenomenem jest to, że – oddalona zaledwie o 13 kilometrów od kontynentu – przypomina arkę, na której schroniły się najbardziej charakterystyczne dla Australii zwierzęta. To naturalne sanktuarium zwierzyny, gdzie czerpać można niewyobrażalną przyjemność z bliskiego kontaktu z dziką naturą. Spaceruje się między lwami morskimi, obserwacja nocnych wędrówek małych pingwinów, przemykanie między kangurami, wypatrywanie koali wśród eukaliptusów, nurkowanie w oceanie z fokami i delfinami... To tylko część tego, co nas tu czeka.

Do tego – wyspa stanowi kalejdoskop różnych widoków: pięknych plaż, jaskiń, małych pustyń, farm, zadziwiających formacji skalnych. Jej

**T**ak w dzienniku „A Voyage to Terra Australis” opisuje swe pierwsze wrażenia z pobytu na wyspie angielski podróżnik Matthew Flinders. Było to 21 marca 1802 roku.

10 tysięcy lat wcześniej wyspa ta została oddzielona od kontynentu australijskiego. Badania archeologów wskazują, że już około 2 tysięcy lat temu przebywali na niej Aborygeni, ale z niewiadomych względów ją opuścili.

Gdy pierwsi eksploratorzy – Nicolas Boudin i Matthew Flinders dotarli na wyspę, zastali ją

### DZIEWICZA KRAINA

**Wolne od człowieka, dziewicze przestrzenie – taki widok odkryli XIX-wieczni podróżnicy. Swój pobyt w tym rajku zaczęli od rzezi kangurów...**





kameralne, dzikie plaże graniczą z turkusowymi wodami, podczas gdy w interiorze natykamy się na pierwotny las i busz. Jedną trzecią powierzchni zajmuje tam park narodowy.

Trudno uwierzyć, że cały spektakl z udziałem rzadkich gatunków zwierząt zwierywa się tak blisko kontynentu. Ma się tam bowiem wrażenie, że wyspę dzieli od cywilizacji cały ocean!

## WIADOMO, AUSTRALIA

– *Spójrz! Wyspa Kangura!* – siedząc pod budynkiem uniwersytetu w Adelajdzie pokazują Norbertowi na mapie pobliską wyspę. – *Jedziemy!* – zapada błyskawicznie jednomyślna decyzja. Jeszcze tego samego dnia ruszamy kamperem na przylądek Cape Jervis, skąd na wyspę można przedostać się promem.

Na pokładzie koszmarnie buja. Uff, nie tylko my mamy niewyraźne miny. Po 15 minutach żeglugi kapitan statku oznajmia, że zawracamy. Po wód? Złe warunki na morzu. Rejs odbędzie się następnego dnia. Aby osłodzić pasażerom tę przykrą

wiadomość, załoga statku zaprasza wszystkich do bezpłatnego skorzystania z zasobów bufetu. Taka jest właśnie Australia!

## GDY PINGWIN SZCZEKA

Tego dnia zwiedzamy Dolinę Barrossy, degustując wina – najlepsze na świecie! Nazajutrz ponownie pakujemy się na prom i po 50 minutach podróży jesteśmy na wyspie, w miasteczku Penneshaw. Chcemy udać się stąd dokądkolwiek, byleby tylko kangurzym tropem!

Długo ich szukać nie musimy. Już po chwili widzimy całe stadko skaczące pomiędzy... gęsiami. Z gromady wybija się jednooki, który zadziornie atakuje nosem moją kamerę. Od tej chwili na każdym kroku utwierdzamy się w przekonaniu, że nazwa wyspy wcale nie jest przesadzona. Kangurów i walabii jest tutaj zatrzęsienie! Dzięki geograficznej izolacji wyspy bardzo dobrze rozwijają się tu pierwotne gatunki, a z kontynentu dodatkowo sprowadzane są zagrożone zwierzęta, takie jak koala, dziobak i opos.

## KOALA I INNE

**Wyspa staje się azylem dla kolejnych zagrożonych gatunków.**



## DOTKNIJ LWA

Wyspa ta stwarza nieustanne okazje do obcowania z dzikimi zwierzętami na wolności. Pod tym względem bliskie są mi emocje, które mogły towarzyszyć pierwszym podróżnikom odwiedzającym ten zakątek świata. Na południu, w Seal Bay, obserwuję kolonię lwów morskich w ich naturalnym środowisku. Mało tego: dzieje się to dosłownie kilka metrów przede mną! Cała ich gromada przemieszcza się wzdłuż brzegu, w towarzystwie chmury dzikiego ptactwa.

Australijski lew morski jest jednym z najrzadszych na świecie gatunków uchatek, z przybliżoną populacją 10-12 tysięcy zwierząt. Kolonia w Seal Bay liczy ich około sześciuset.

Większość Australijczyków nigdy nie widziała lwów morskich na kontynencie, bo w zeszłym stuleciu zostały wybite przez łowców fok. Drugim zagrożeniem są dla nich rekiny. Niewiele zwierząt dożywa podeszłego wieku – maksymalnie lat dwudziestu.

Trafiamy akurat na sezon rozrodczy; samce są teraz agresywne i czujne. Żeby utrzymać swój harem, samiec może pozostawać na brzegu przez ponad miesiąc, bez pożywienia. W tym czasie toczy z konkurentami liczne walki. W ich efekcie ma szansę zdobyć nawet kilkanaście samic!

Łatwo odróżnić płeć tych zwierząt. Samiec (byk) jest całkowicie ciemny i ma kremową grzywę, samica (krowa) – jest szczuplejsza, ma małą głowę i jasne podbrzusze.

Seal Bay to niezwykle miejsce, gdzie można obserwować obyczaje tych rzadkich zwierząt. Ci, którzy są spragnieni bezpośredniego kontaktu z lwami morskimi mogą skorzystać z organizowanej wycieczki i ponurkować z nimi w oceanie. Do wspólnej zabawy z pewnością dołączą też delfiny butlonose. My tymczasem popływamy w Emu Bay, gdzie do dyspozycji jest 5-kilometrowa plaża z białym piaskiem i turkusowo-szmaragdowym morzem. Na razie spotkań ze zwierzętami mi nie brakuje. Nawet z tymi martwymi – opuszczając zatokę omal nie potykam się o szkielet wieloryba!

## TAPCZAN W DARZE OD NATURY

Za Seal Bay krajobraz nagle się zmienia – spomiedzy buszu wyłania się pustynia! To Little Sahara z piaszkowymi wydrami ciągnącymi się kilometrami. Można tu testować swoje umiejętności sandboardingu bądź też po prostu zakopać się w ciepłym piasku. I pomyśleć, że w środku bogatej w dzikie zwierzęta i bujną roślinność wyspy, można natknąć się na taki pustynny zakątek.

### KROK OD LWA

**Spaceruj pomiędzy lwami morskimi to tylko część tego, co nas tu czeka.**

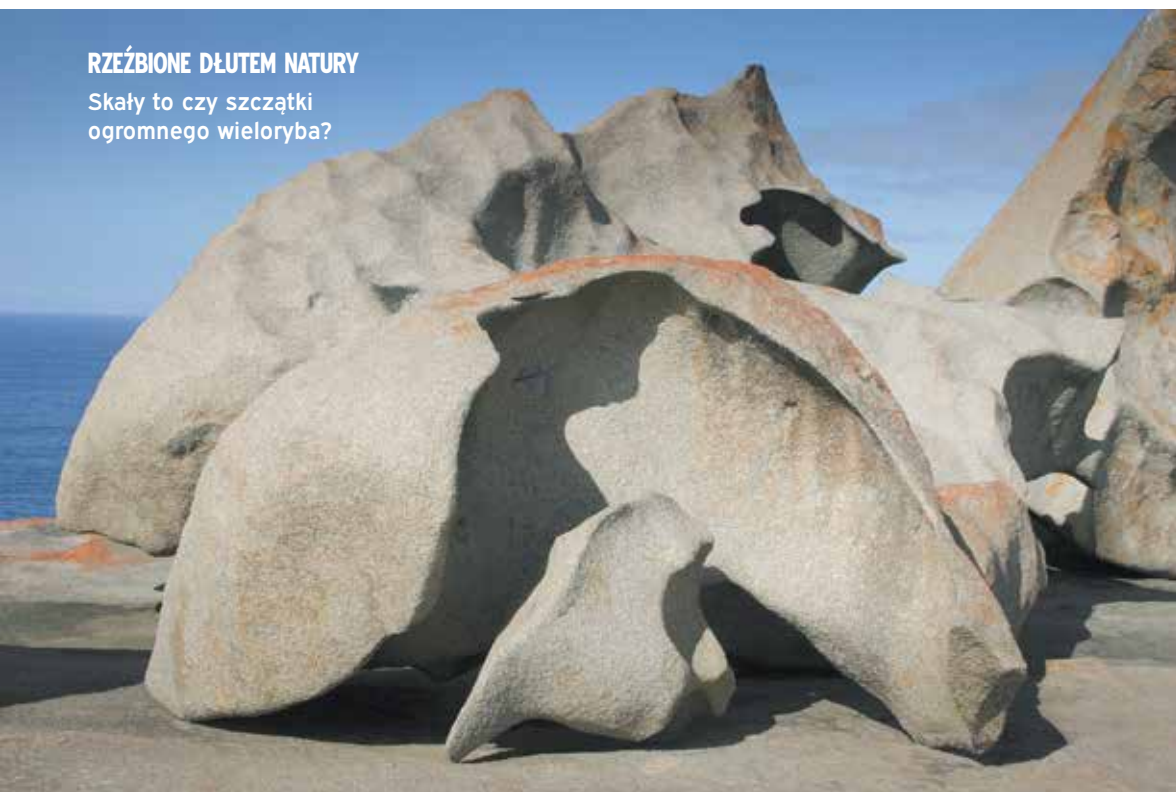
Późnym wieczorem, w okolicy Penneshaw jesteście świadkami nieprawdopodobnej sceny: marszu najmniejszych pingwinów świata! Gdy mija zagrożenie ze strony drapieżników, setki małych pingwinów (*Eudiptula minor*, zwanych tu fairy penguins) wychodzą na brzeg po dziennym połowie. Ich nocnym wędrówkom towarzyszą charakterystyczne nawoływania (dźwięk pomiędzy kwakaniem kaczki a szczekaniem psa). Podobno miejscowi spotykają „fairies” nawet w swoich ogródkach!





## RZEŹBIONE DŁUTEM NATURY

Skąły to czy szczątki  
ogromnego wieloryba?



## TEATR W KLIFIE

Dziś na scenie  
występują foki  
futrzaste.



## STOP! KOLCZATKA NA DRODZE

Najlepiej niespiesznie  
poruszać się po  
wyspie, smakując  
kolejne spotkania.

Dalsza droga prowadzi nas do Flinders Chase National Park i na Cape Du Couedic na południowo-zachodnim krańcu wyspy. Przy Admirals Arch, w przypominającej półokrągłe okno klifowej pieczarze, na tle zachodzącego słońca przetaczają się po skałach nowozelandzkie foki futrzaste. Dorosłe samce toczą walki o samice, samice karmią młode, nieletnie foki się bawią. Chwilo, trwaj!!!

Wokół cisza, dzika przyroda na wyciągnięcie ręki i... tylko my. Nieopodal miga światło latarni morskiej, przywołując wspomnienie dawnych

czasów, kiedy na wyspę zawijali pierwsi odkrywcy, łowcy wielorybów i fok, zbiegli skazańcy i dezerterzy ze statków, przywożący tu aborygeńskie kobiety... To jedno z takich magicznych miejsc, gdzie diabeł mówi dobranoc, a człowiek spotyka się z dzikim obliczem natury, które wprost poraża swą mocą i pięknem.

Rankiem nie mogę oderwać wzroku od fok kąpiących się w naturalnych basenach skalnych. Horyzont ginie za kilometrami klifowego wybrzeża z lazurowymi zatoczkami. Setki ptaków krążą nad przybrzeżnymi wysepkami. Wzburzone fale rozbijają się potężnie o skały tworząc wielką kipieli. A w głowie – siła spokoju... Schodzę na parking do pobliskiej toalety i... oczom nie wierzę! Tuż obok muszli siedzi jeden z najbardziej jadowitych australijskich pajaków: czarno-czerwony red back. Takie spotkania nie należą do przyjemnych. Czas się stąd ruszyć!

Kawałek drogi dalej sceneria wyspy staje się coraz bardziej surrealistyczna. Zwłaszcza w charakterystycznym i znanym z wielu fotografii miejscu – Remarkable Rocks. Jest to położone na skraju klifu skupisko granitowych głazów leżących na skalnej kopule. Ich niesamowite kształty natychmiast przywołują mi na myśl obrazy Salvadora Dali lub abstrakcyjne rzeźby Henry Moore'a, czerpiącego inspirację z bogactwa form naturalnych.

Jakże piękną formację skalną w ciągu 500 milionów lat erozji wyrzeźbiły woda morską, wiatr i czas. Malowniczości nadaje jej też pomarańczowy kolor – to efekt rosnących porostów. Barwa skał zmienia się w zależności od pory dnia, co stwarza niezwykłą okazję do spektakularnych zdjęć.

W jednej ze skał znajduję sobie idealnie wyżłobione miejsce na drzemkę. Moszczę się w nim, zafascynowana niezwykłą potęgą natury. W ciągu milionów lat ujęła skałę w tak doskonałą formę, że mogę teraz do niej cała przylgnąć, powierzając jej swój sen.

## WŁOSZKI PRAWDZIWSZE OD ORYGINAŁU

Po kangurach, lwach morskich i nowozelandzkich fokach, przyszedł czas na koala. Wyspa Kangura, jak się okazuje, to dla nich prawdziwy raj – zwłaszcza w Hanson Bay Sanctuary. Spacerując Koala Walk niedaleko South Coast Rd, przyglądam się z bliska tym torbaczom przytulonym do eukaliptusów.







Zostały tu sprowadzone z kontynentu i z braku naturalnych wrogów (głównie psów dingo) szybko się rozprzestrzeniły. Ich populacja urosła do tego stopnia, że na wyspie spowodowały olbrzymie szkody w drzewostanie. Do częstych widoków należą огоłocone przez koale korony eukaliptusów – drzewa, pozbawione młodych liści, obumierają. W trosce o zachowanie równowagi lokalnego ekosystemu rangersi część populacji koali wywożą na kontynent, a inne sterylizują.

150 lat temu wybudowano na wyspie kilka latarni morskich, żeby wspomagać statki płynące do brzegów południowej Australii. Nie uchroniło to jednak wszystkich z nich i dziś można tu naliczyć 50 wraków. To raj dla nurków.

Stoimy na wysokim klifie, wypatrując wielorybów minke. Podobno to trasa ich migracji (od czerwca do września), ale my widzimy jedynie głębokie wody oceanu i fale bijące o brzeg.

W nocy kamperem docieramy do American River. Zupełnie nie wiemy, w jakich okolicznościach przyrody będzie nam dane dziś spać. Rano przynosi cudowne przebudzenie: stada pelikanów i czarne łabędzie unoszą się łagodnie na wodzie,

mewy i rybitwy krążą nad głowami, łódzie wypływają na połowy ryb... Ławeczka w kolonialnym stylu z misternie utkanyimi pajęczymi sieciami zachęca do relaksu w promieniach słońca. Wybornie smakuje na niej chleb z miodem pozyskanym od czystej rasy pszczoł liguryjskich, zwanych też włoskimi (*Apis mellifera ligustica*).

Pszczoły te zostały sprowadzone na wyspę aż 127 lat temu z rejonu Ligurii w północnych Włoszech. Tym samym jest to najstarszy na świecie rezerwat pszczoły miodnej. Toleruje się tu tylko ten jeden gatunek, a kara za przywiezienie jakiegokolwiek innych pszczoł lub choćby miodu czy sprzętu pszczelarskiego – opiewa na 8 tys. dolarów lub 2 lata więzienia. Australijczycy dbają, żeby ich pszczoły nie chorowały oraz nie krzyżowały się. Doszło do tego, że pszczoły włoskie na Wyspie Kangura są bardziej czyste rasowo niż w samych Włoszech. Warto było wstąpić na tę słynną miodową farmę rodziny Clifford.

Mamy też inne specjały: kozi i owczy ser oraz pyszny dżem morelowy. Niespiesznie jedząc śniadanie, żegnamy się z Wyspą Kangura. Jak się okazało – nie tylko kangura można tu spotkać. ○

## PTASI RAJ Powietrze gęste od ptaków.





#### UROK BESTII

Wyginęły, zanim na Ziemi pojawili się pierwsi ludzie. A mimo to wciąż straszą i fascynują.

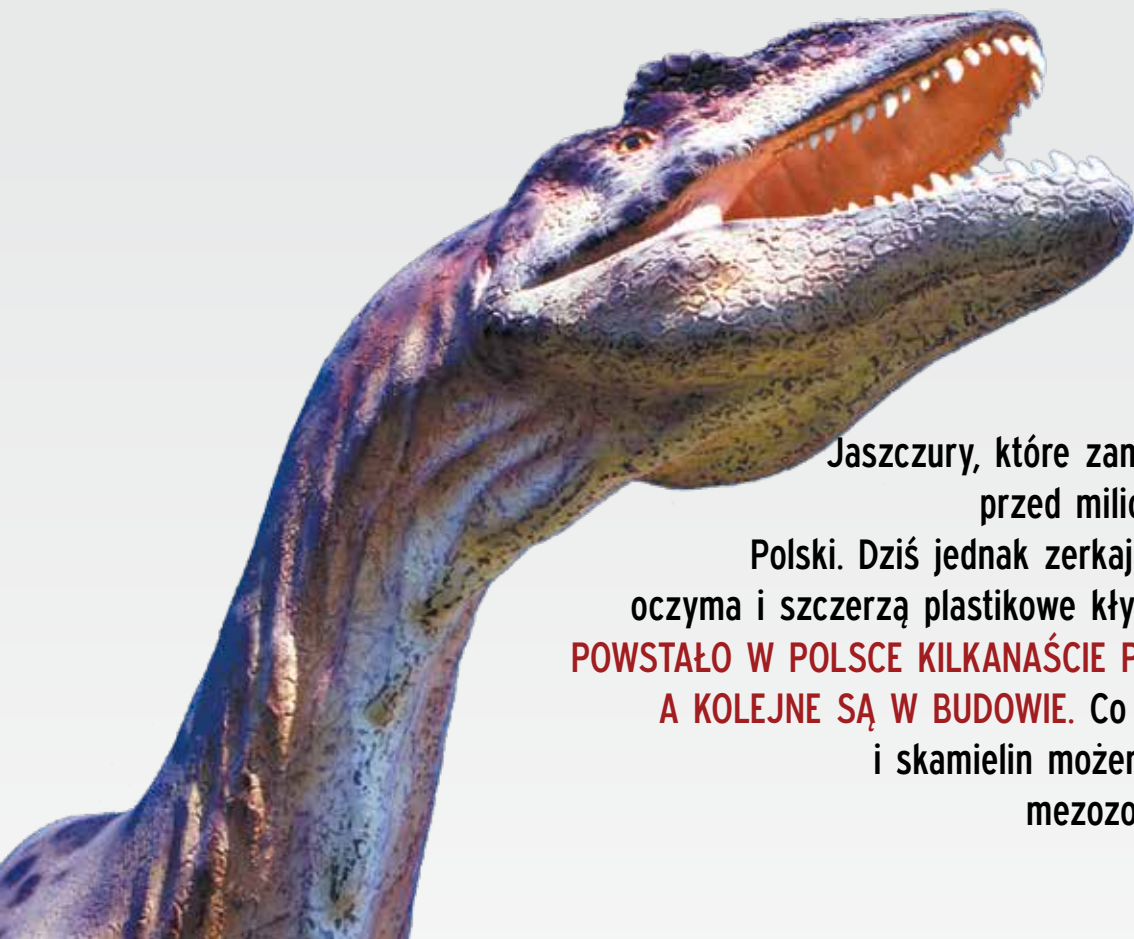




Polska krajem dinozaurów

# CZARCI SLADY

Grzegorz Micuła



Jaszczury, które zamieszkiwały nasz kraj przed milionami lat, wracają do Polski. Dziś jednak zerkają już tylko szklanymi oczyma i szczerzą plastikowe kły. **W CIĄGU KILKU LAT POWSTAŁO W POLSCE KILKANAŚCIE PARKÓW JURAJSKICH, A KOLEJNE SĄ W BUDOWIE.** Co na podstawie tropów i skamielin możemy powiedzieć o tych mezozoicznych zwierzętach?



**M**atecznikiem polskich dinozaurów jest region świętokrzyski. Mniej więcej 160 mln lat temu na Kielecczyźnie biło o brzeg morze, a po plaży przechadzały się dinozaury, które zostawiały na piasku odciski.

„Niedaleko Szydłowca (...) jest skała od wierzchu naga, a na niej znak pośliznionej stopy z pazurami, znać wyraźnie piętę, podeszwę i palce. Kamieniarze opowiadali, że gdy Michał Archanioł ścigał diabła piorunem, ten uciekając, oparł się na tejsze skałe, ślad po sobie pozostawił i pod skałą się schował, i dlatego skały tej kamieniarze nie zaczepiają” – napisał słynny polski etnograf Oskar Kolberg w monumentalnym, 33-tomowym dziele „Lud, jego zwyczaj, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, gusła, zabawy, pieśni, muzyka i tańce”.

### ŚWIADECTWA PRZESZŁOŚCI

Ślady zakończonych pazurami, trójpalczastych łap, odcisnięte w skałach Gór Świętokrzyskich były inspiracją dla przerażających opowieści o diabłach. Oczywiście, te „czarcie stopy” nikogo dziś już nie przestraszą. Fascynują za to naukowców i turystów.



Tropy świętokrzyskich dinozaurów pochodzą z okresu jurajskiego i odcisnięte zostały pomiędzy 205 a 150 mln lat temu. Pierwsze ślady odkrył tu w 1959 roku geolog dr Władysław Karaszewski. Kolejnych znalezisk dokonywali Gerard Gierliński, Grzegorz Pieńkowski i Grzegorz Niedźwiedzki.

Sensacyjne było odkrycie tropów górnourajskich dinozaurów we wsi Bałtów. Na skale, zwanej przez mieszkańców Czarcią Stopką, znaleziono ślady dużego drapieżnika. Dobrze zachowane tropy widoczne są też w Żydowskim Jarze. Należą do dwumetrowych roślinożernych dryomorfów, biegających na tylnych kończynach (przedstawicielami tej grupy są dryozaur i kamptozaur). Obok widoczny jest trop ponadtrzymetrowego teropoda, drapieżnego dinozaura, który być może polował na spokojne dryomorfy. W jarze znaleziono też trop czterometrowego drapieżnego allozaura. Był to raczej niewielki osobnik, jego krewniacy osiągnęli długość dwunastu metrów.

## RODZINNA PRZECHADZKA

Tropy dinozaurów, znalezione w pobliżu Skarżyska Kamiennej, można oglądać w rezerwacie Gagaty Sołytkowskie. Natrafiono tu także na najwcześniejsze świadectwo opieki tych zwierząt nad potomstwem; młody zauropod wędrował obok dorosłego osobnika, a wokół nich krążył drapieżny dinozaur. Koło Mniowa, na zachód od Kielc, natrafiono na jedno z najbogatszych na świecie skupisk tropów tych zwierząt. Ich zagęszczenie sięga w niektórych miejscach dwunastu śladów na metr kwadratowy. Był tu wówczas lądowy pomost, którym wędrowały stada dinozaurów.

Stanowisko paleontologiczne koło Mniowa już nie istnieje. Skamieniałe tropy dinozaurów można oglądać w Muzeum Oddziału Świętokrzyskiego Państwowego Instytutu Geologicznego w Kielcach oraz w Eko Muzeum w Starachowicach. W hali dawnej starachowickiej huty ekspozowane są tropy znalezione w pobliskich Wiórach, odcisnięte w czerwonych piaskowcach i iłowcach triasowych. Owa kolekcja śladów kręgowców, pochodząca z samego początku ery mezozoicznej (ok. 245 mln lat temu), znaleziona została przez Tadeusza Ptaszyńskiego i Kazimierza Rdzanka.

Tropy dinozaurów znajdowano też w innych regionach Polski. W skałach triasowych Doliny Tomanowej w Tatrach, oraz w pobliżu wsi Potok na Roztoczu, gdzie w 2006 w skałach kredowych natrafiono na półmetrowy trop dinozaura kacz-



dziobego (hadrozaura) oraz mniejsze ślady dinozaura pancernego (tyreofora). Są to pierwsze znane tropy dinozaurów z okresu kredowego w Polsce.

## POWRÓT SMOKA

Kilkanaście lat temu, w odkrywcę w Krasiejowie na Opolszczyźnie – natrafiono na wielkie cmen-

### CZY POWRÓCĄ?

**Taki dino w realu...  
można się bać. Ambicje  
inżynierów genetyków  
zdają się nie mieć granic.**

# PARKI DINOZAUROW W POLSCE

**1 JURA PARK W BAŁTOWIE** to pierwszy duży park dinozaurów w Polsce – powstał w 2004 r. Prezentuje ponad 50 plastikowych potworów. Jest też kino 5D, muzeum geologiczne, a na pobliskich skałach zobaczyć można odciski łap prawdziwych jurajskich jaszczurów.

**2 JURA PARK W SOLCU KUJAWSKIM**, który powstał przy współpracy z Państwowym Instytutem Geologicznym i Wydziałem Geologii UW, zajmuje obszar 12 ha jest jednym z największych tego typu parków w Europie.

**3 PARK W KRASIEJOWIE NA ŚLĄSKU OPOLSKIM**, otwarty w ubiegłym roku, znajduje się na wielkim wyrobisku, w którym znaleziono kości trasowych kręgowców. Obejrzeć tam można stanowiska paleontologiczne, z których naukowcy wydobywają skamieniałe kości sprzed milionów lat. Jest też kino 5D i ciuchcia jeżdżąca w tunelu, na którego ścianach prezentowane są popularnonaukowe filmy o dinozaurach.

**4 DINOZATORLAND W ZATORZE**, największy park ruchomych dinozaurów w Polsce, utrzymuje kilkadziesiąt ruszających się i ryczących potworów. Między innymi – największego na świecie, 14-metrowego tyranozaura, który ryczy i pryska wodą na przechodzących ścieżką turystów.

Największym takim parkiem w Polsce jest **ZAUROLANDIA W ROGOWIE NA PAŁUKACH**, z wielkimi zauropodami i pterodaktyłami. W kwietniu rusza nowy **ŁEBA PARK**, a w maju **DINOPARK W MALBORKU**.







## POLSKA DINOZAUROMANIA, CZYLI PARKI JURAJSKIE W POLSCE

### **Jura Park w Bałtowie**

[www.juraparkbaltow.pl](http://www.juraparkbaltow.pl)

### **Jura Park w Solcu**

[www.juraparksolec.pl](http://www.juraparksolec.pl)

### **Jura Park w Krasiejowie k. Opola**

[www.juraparkkrasiejow.pl](http://www.juraparkkrasiejow.pl)

### **Zaurlandia w Rogowie k. Biskupina**

[www.zaurolandia.pl](http://www.zaurolandia.pl)

### **Dinozatorland z Zatorze**

[www.dinozatorland.pl](http://www.dinozatorland.pl)

### **Park Jurajsko-Botaniczny Dinopark Kołacinem**

[www.dino-park.pl](http://www.dino-park.pl)

### **Dino Park w Rybniku nad zalewem**

[www.parkjurajski.net](http://www.parkjurajski.net)

### **Park Dinozaurów Nowiny Wielkie Witnica woj. Lubuskie**

[www.park-dinozaurow.pl](http://www.park-dinozaurow.pl)

### **Dinolandia w Inwałdzie**

[www.dinolandia.eu](http://www.dinolandia.eu)

### **Leba Park**

[www.lebapark.pl](http://www.lebapark.pl)

### **Jurajski Park Dinozaurów w Jurowcach k. Białegostoku**

[www.jurajskiparkdinozaurow.pl](http://www.jurajskiparkdinozaurow.pl)

### **Park dinozaurów w Karłowie w Górach Stołowych**

[www.park-dinozaury.pl](http://www.park-dinozaury.pl)

### **Dolina Dinozaurów w ZOO Śląskim w Chorzowie**

[www.zoo.silesia.pl](http://www.zoo.silesia.pl)



## POLSKIE ŚLADY

Wyraźne ślady dinozaurów można zaobserwować w okolicach Kielc. Koło Mniowa natrafiono na jedno z najbogatszych na świecie skupisk tropów tych zwierząt.

Autor jest dziennikarzem, fotografem, autorem licznych książek o tematyce krajoznawczej. Z wykształcenia jest geologiem.

tarzysko zwierząt sprzed 230 mln lat, w tym gadów i płazów z czasów poprzedzających erę, w której dominowały dinozaury. – *To największe odkrycie w Europie i jeden z najważniejszych obszarów paleontologicznych na świecie* – mówił o krasiejowskich wykopalskach prof. Jerzy Dzik, który w 2002 roku pierwszy opisał i nazwał znalezione go w tym miejscu prajaszczura *Silesaurus opolensis*, czyli Jaszczura Śląskiego spod Opola. Był to łagodny, żywiący się paprociami i widłakami roślinożerca, wielkości dużego psa.

W 2006 roku w cegielni w Lisowicach na Opolszczyźnie, znaleziony został pierwszy polski dinozaur. Znajdowano wprawdzie wcześniej ślady, ale nigdy tak wiele szczątków. Polski dinozaur został nazwany Smokiem. Miał pięć metrów długości i ostre jak szpilety kły o długości od pięciu do siedmiu centymetrów. Ważył około tony. W zabijaniu ofiar pomagał sobie długimi przednimi łapami, wyposażonymi w szpony. Odcisk jego tylnej łapy miał 40 cm długości. Według polskich uczonych, lisowicki Smok żył 205 mln lat temu i zaliczał się do tetanurów – grupy dwunożnych, drapieżnych dinozaurów, z których wywodziły się przerażające tyranozau-

ry – największe drapieżniki, jakie chodziły po Ziemi. Do tej samej grupy zaliczają się także inteligentne i krwiożercze zarazem welociraptory, znane wszystkim, którzy oglądali „Park Jurajski” Stevena Spielberga.

## GIGANTYCZNY AMFICELAS

Odkrycia skamieniałych szczątków w Krasiejowie i rosnące zainteresowanie dinozaurami przyczyniły się do budowy parku jurajskiego w niecce dawnej odkrywki. Brachiozaury, których modele tam postawiono, przypominają wyglądem wielkie żyrafy. Model *amficieliasa* (gatunek roślinożernego zauro-poda), największej istoty, jaka kiedykolwiek stąpała po Ziemi, ma prawie 60 m. Waga tych zwierząt dochodziła do 120 ton. W Krasiejowie można zobaczyć w sumie kilkaset wiernie odtworzonych dinozaurów. Część zgrupowano w stada, aby zrekonstruować wyobrażone sytuacje, jakie być może działy się przed milionami lat. Jest to największa i najwierniejsza ekspozycja dinozaurów na terenie Polski. Zobaczyć można też modele innych prehistorycznych zwierząt – od owadów po wszelkie odmiany gadów lądowych, pływających i latających.

## DINOZAURY W WARSZAWIE

Naturalnej wielkości rekonstrukcje znalezionych w Krasiejowie zwierząt obejrzeć można w Muzeum Ewolucji w Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie. Są tu także szkielety wielkich drapieżnych dinozaurów, w tym potężny łeb tyranozaura z wielkimi zębiskami, oraz gniazdo skamieniałych jaj, znalezione przez polskich paleontologów w Mongolii.

W Muzeum Państwowego Instytutu Geologicznego przy ul. Wiśniowej obejrzeć można wierną rekonstrukcję pokrytego piórami wczesnojurajskiego drapieżnego dilofozaura. Nazwano go Dyziem, a odtworzony został na podstawie badań dr. Gerarda Gierlińskiego przez artystkę plastykę Martę Szubert. Przed gmachem muzeum stoi kilkanaście niewielkich dinozaurów z różnych epok, a naturalnej wielkości allozaur, czołowy zabójca z okresu jury, szczyt kły przed budynkiem Muzeum Wydziału Geologii Uniwersytetu Warszawskiego przy ul. Żwirki i Wigury.

## JAK WYGINĘŁY DINOZAURY?

Dlaczego te straszne jaszczury, które władaly Ziemią przez dziesiątki milionów lat, zniknęły w koń-





## FAKTY:

Dinozaury to gady, które zamieszkiwały Ziemię mniej więcej od 200 do 65 mln lat temu. Wśród „strasznych jaszczurów”, bo taką nazwę nadano im od greckich słów deinos (straszny) i sauros (jaszczur), były zarówno gatunki roślinożerne, jak i drapieżne. Pierwsze dinozaury pojawiły się w późnym triasie i szybko stały się najpotężniejszymi stworzeniami, jakie kiedykolwiek chodziły po naszej planecie. Największe osiągały ponad 50 m długości, ale znane są także gatunki małych zwierząt, niewiele większych od kury.



cu z powierzchni naszej planety? Dokładnie nie wiadomo, ale najprawdopodobniej było tak: pod koniec kredy, około 65 mln lat temu, dinozaury, podobnie jak wiele innych zwierząt, padły ofiarą wielkiego kataklizmu. W Ziemię uderzyła ogromna kometa lub planetoida, która mogła mieć 10 km średnicy, a nawet więcej. Potężne uderzenie spowodowało wielkie pożary. Do atmosfery przedostały się chmury pyłów i gazów, które nie tylko przesłoniły promienie słoneczne, ale też wywołały kwaśne opady. Brak światła i ciepła słonecznego, zanieczyszczenie powietrza oraz wspomniane kwaśne deszcze – zniszczyły roślinność. Z czasem zabrakło pożywienia dla roślinożernych dinozaurów. Gdy zabrakło zwierząt żywiących się roślinami, wymarły również mięsożercy. Wprawdzie dinozaury wyginęły przed milionami lat, ale możemy dziś obserwować ich potomków. Uważa się, że współcześnie żyjące ptaki należą do teropodów – jednego z podrzędu dinozaurów. ○

**JAK ŻYWE**  
Największą ekspozycję w Polsce, kilkaset prehistorycznych gadów, można obejrzeć w Krasiejowie na Opolszczyźnie.

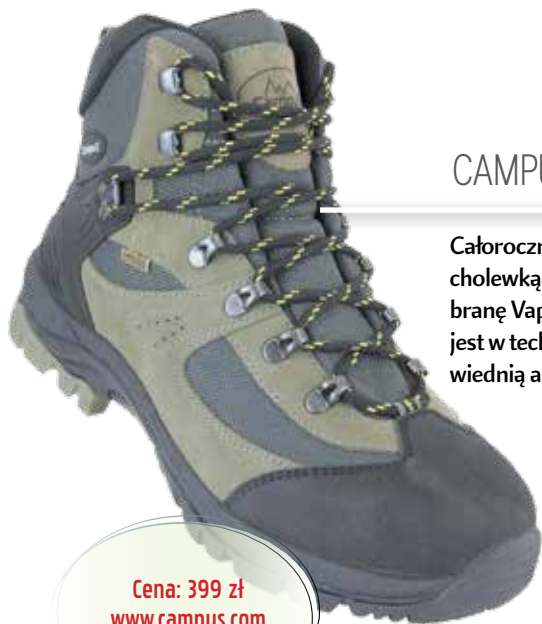
# Wiosna tuż, tuż!

Cena: 139,90 zł  
www.4f.com.pl

Słońce mocno przygrzewa, śniegu coraz mniej – znak, że już wkrótce zaczną się wiosenne eskapady. Warto więc przejrzeć szafy, sprawdzić, czy nie przydałby się nowy plecak, czy ubiegłoroczna kurtka dość skutecznie ochroni przed zmienną wiosenną aurą?

## 4F LOBSTER

Bardzo uniwersalny, wielofunkcyjny plecak. Posiada boczne kieszenie, pasy kompresyjne, pas biodrowy, pas piersiowy, uchwyty na akcesoria, pokrowiec przeciwdeszczowy, system CD/MP3 – pojemność 27 l, waga 1 kg.



## CAMPUS FLUMS 2

Całoroczne buty trekkingowe z wodoodporną cholewką z zamszu. Zastosowano w nim membranę Vaportex, natomiast podeszwa wykonana jest w technologii Vibram, która zapewnia odpowiednią amortyzację i przyczepność.

Cena: 399 zł  
www.campus.com

Cena: 588 zł  
www.alpinus.pl

## ALPINUS RED EARTH

Trekkingowa kurtka typu „trzy w jednym”. Kurtka zewnętrzna posiada dwuwarstwową membranę hydrotex CXP. Ma anatomiczne kształty, laminowane szwy, 3 kieszenie zewnętrzne zapinane na zamek oraz 3 kieszenie wewnętrzne, kaptur z daszkiem, profilowane rękawy, mankiety z regulacją na velcro, podwójną listwę frontową i przedłużony tył. Kurtka wewnątrz natomiast to: Polartec 200 series – 100 procent Poliamidu.







## LAFUMA DUMAREST LOFT

Cena: 599 zł  
[www.lafuma.com.pl](http://www.lafuma.com.pl)

Niezwykle lekka, a zarazem ciepła, kurtka membranowa z ociepliną z PrimaLoftu. Membrana, której do niej użyto to Climactive. Jest więc nieprzemakalna oraz wodoodporna. Kurtka posiada ocieplony, zintegrowany kaptur, trzy kieszenie i mankiety regulowane przy pomocy rzepów. Zaletą tej kurtki jest jej mała waga: zaledwie 466 g. Dzięki swojej sprężystości, po spakowaniu, zajmuje niewiele miejsca. Można ją, zatem zabrać na wędrowkę i założyć, kiedy pogorszy się pogoda.

## BUFF

Original Buff® to wszechstronny dodatek, który w zależności od pogody chroni przed wiatrem, zimnem lub prąjącym słońcem. Wykonany jest z bezszwowej nowoczesnej elastycznej mikrofibry. Posiada właściwości oddychające, utrzymuje optymalną temperaturę w trakcie użytkowania i, co najważniejsze, posiada antybakteryjne wykończenie na bazie jonów srebra, dzięki temu nie chłonie zapachów i daje uczucie czystości nawet po długim wysiłku. Jest tak utkany, że zachowuje elastyczność na boki, ale na długość pozostaje zawsze taki sam. Z chusty Buff® w bardzo łatwy sposób można zrobić czapkę, opaskę, maskę chroniącą od kurzu lub śniegu, bandankę, jak również wykorzystać na wiele innych sposobów, jakie tylko przyjdą do głowy, gdy trafi do nas ten niesamowity gadżet.



Cena: 59 zł  
[www.malavi.pl](http://www.malavi.pl)

## TERNUA GREGAL

Dopasowana kurtka, która zapewni ochronę przed największym wiatrem, dzięki zastosowaniu Gore® Windstopper®. Gregal to zatem uniwersalne okrycie szerokiego zastosowania, sprawdzi się w różnych warunkach pogodowych oraz tam, gdzie liczy się oddychalność i wysoki komfort termiczny. Dobre więc na górski szlak, czy rowerowy trening. Posiada regulację kołnierza, profilowane łokcie i mankiety regulowane rzepem.



Cena: 579 zł  
[www.negrasport.com](http://www.negrasport.com)

ZDJĘCIA: MAT. PRASOWE

## DEUTER SHELTER II

Wielofunkcyjna płachta biwakowa, używana jako poncho lub pokrowiec przeciwdeszczowy na śpiwór. Może służyć jako daszek podczas noclegu na półce skalnej lub jako prosty namiot. Posiada klejone szwy i pełną wodoodporność. Materiał zewnętrzny nie powoduje nieprzyjemnego uczucia chłodu w zetknięciu z ciałem. Na opakowaniu zewnętrznym znajduje się instrukcja SOS.



Cena: 339 zł  
[www.bakosport.pl](http://www.bakosport.pl)

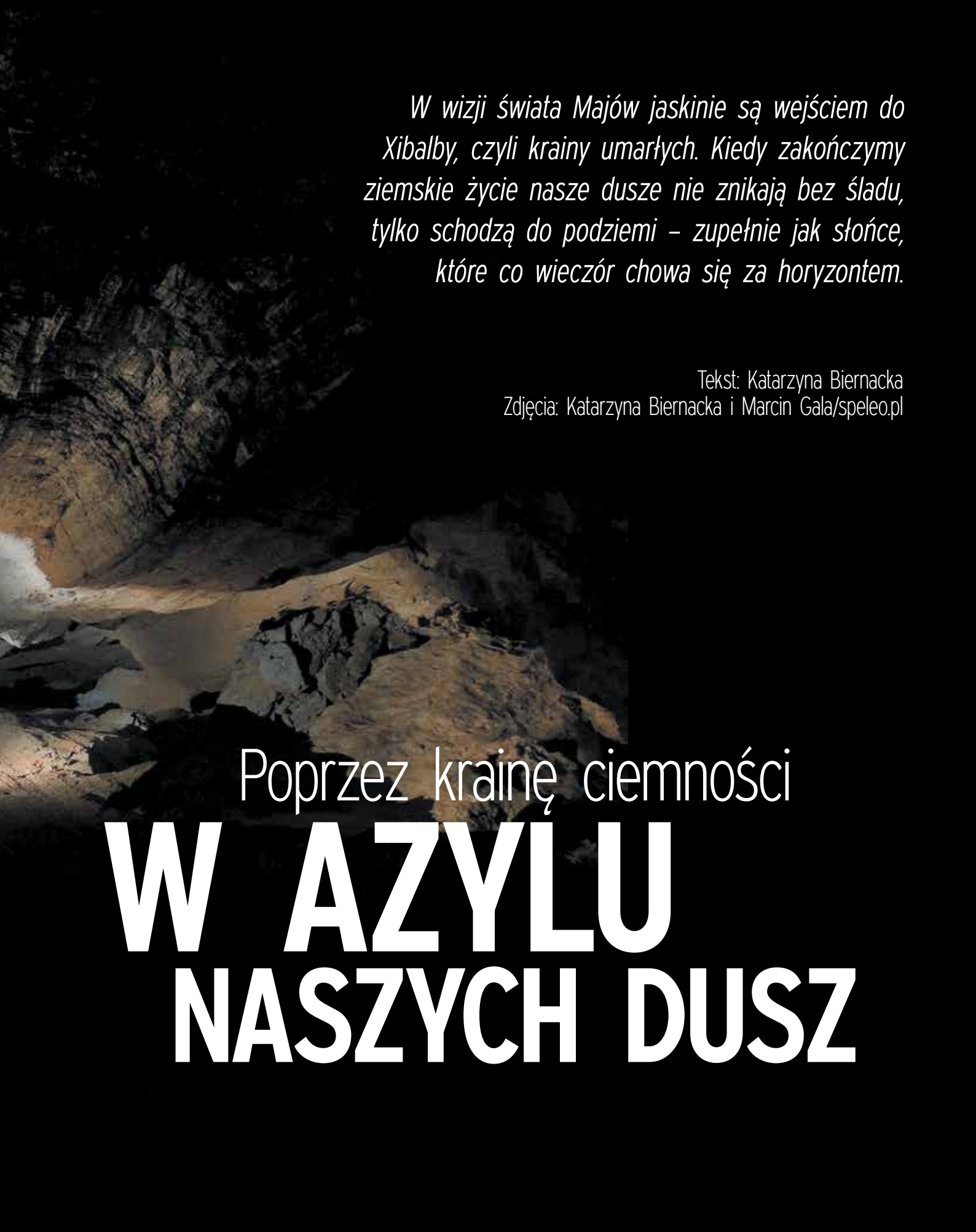




**JASKINIA ZIELONYCH  
KAMIENI, PÓŁNOCNA  
HISZPANIA**

Studnia P-110 w jaskini  
Piedras Verdes, ma  
110 metrów głębokości.  
Zjazd do jej dna trwa  
kilkanaście minut,  
wychodzenie do góry  
oczywiście znacznie  
dłużej.





*W wizji świata Majów jaskinie są wejściem do Xibalby, czyli krainy umarłych. Kiedy zakończymy ziemskie życie nasze dusze nie znikają bez śladu, tylko schodzą do podziemi – zupełnie jak słońce, które co wieczór chowa się za horyzontem.*

Tekst: Katarzyna Biernacka  
Zdjęcia: Katarzyna Biernacka i Marcin Gala/speleo.pl

Poprzez krainę ciemności

# W AZYLU NASZYCH DUSZ

Z każdym krokiem robi się głębiej.  
Po paru metrach tracimy grunt  
i zaczynamy płynąć. Woda jest  
krystalicznie czysta i chłodna – przydaje  
się kombinezon z pianki neoprenowej.  
Nie zanurzam głowy, żeby nie stracić  
nic ze spektaklu, który rozgrywa się  
dookoła. Światła naszych latarek tworzą  
jasne kręgi na wodzie i rzucają blask  
na strop jaskini. Wpływamy do sali,  
w której ze sklepienia zwisają setki  
nitek przypominających spaghetti. Muszę  
uważać, by nie potrącić ich kaskiem.  
Są bardzo kruche – to cieniutkie nacieki  
wapienne, które speleolodzy nazywają  
makaronami lub słomkami.  
Tu, w meksykańskiej jaskini Rio  
Secreto, jest ich mnóstwo i narastają  
nieprzerwanie od setek tysięcy lat.

## SEKRET RIO SECRETO

Cisza. Jedyne odgłosy to plusk wody i nasze „ochy”, „achy”, „popatrz tu” i „musisz to zobaczyć!”. Otwierają się przed nami kolejne przestrzenie wypełnione szmaragdową wodą. Przepływamy obok wysepki pokrytej stalagmitami, zabarwionymi na brązowo i czerwono. Z sali, w której jesteśmy, można płynąć korytarzami w kilku kierunkach. Wybieramy najwęższe przejście. Płyniemy, jedno za drugim, w kierunku wyjścia. Jesteśmy tak zauroczeni, że obiecujemy sobie tu wrócić.

Gdy wychodzimy, oślepia nas słońce. Woń lasu odurza – pod ziemią zmysły odzwyczały się od intensywnych zapachów. Czujemy się jak odkrywcy nieznanego świata.

Dziś na powierzchni naszej planety jest niewiele miejsc niezbadanych. Pod ziemią pozostaje ich znacznie więcej. Najgłębsza poznana jaskinia ma ponad dwa kilometry głębokości. Kto wie, ile ma ta jeszcze nieodkryta? Tego właśnie chcą się dowiedzieć grotolazi.

Wypełniona częściowo wodą jaskinia Rio Secreto, którą zwiedzaliśmy, jest jedną z niewielu na świecie, gdzie mogą przebywać turyści. By zostać grotolazem i eksplorować podobne obiekty niedostępne dla turystyki, trzeba przejść długie i wymagające kursy oraz

KACNA JAMA,  
SŁOWENIA

Początek Kacnej Jamy  
przyprawia o zawrót  
głowy – studnia  
wlotowa to prawie  
200 metrów zjazdu.





**JASKINIA CHEVE,  
POŁUDNIOWY MEKSYK**  
Cheve to najgłębsza  
jaskinia zachodniej  
półkuli, ma prawie  
półtora kilometra  
głębokości. Dotarcie  
od otworu do tej części  
jaskini, leżącej na  
około -1000, zajmuje  
grotołazom półtora dnia.





## **JASKINIA J2, POŁUDNIOWY MEKSYK**

Eksplorację tej jaskini na głębokości około 750 m przerwał nam syfon, czyli całkowicie zalany fragment korytarza. Trzeba było nurkować. Po drugiej stronie syfonu nurkowie odkryli, że powstała tam spiętrzająca wodę tama. Nurkowie przez trzy dni pracowali nad rozebraniem jej, w końcu udało się. Woda opadła i teraz pokonuje się to miejsce z nosem tuż nad powierzchnią wody.





**JASKINIA ATANASIO,  
POŁUDNIOWY MEKSYK**

W jaskiniach wodę spotykamy co krok – tu kapie, tam sączy się, dalej tworzy potok, a czasem płynie spienioną rzeką.

Na szczęście w meksykańskich jaskiniach woda jest ciepła.

**Kamila Lewnau • Biuro Ubezpieczeń Indywidualnych Ergo Hestia**

Jaskinie przyciągają pasjonatów przygody. Odkrywanie podziemnych tajemnic czasem może prowadzić do różnych nieprzewidzianych sytuacji, dlatego, wybierając się na wyprawę, oprócz zadbania o kondycję fizyczną i skompletowanie dobrego sprzętu należy koniecznie wykupić ubezpieczenie kosztów leczenia oraz ratownictwa. Bezwzględnie trzeba też sprawdzić, czy zaproponowane nam ubezpieczenie obejmie możliwie szeroki zakres szkód powstałych w czasie chodzenia po jaskiniach. Przez większość ubezpieczycieli sport ten zaliczany jest do grupy wysokiego ryzyka i kwalifikowany jako działanie ekstremalne. A to bardzo często oznacza, że ubezpieczyciel nie pokryje kosztów wynikłych z nieprzewidzianych zdarzeń podczas naszej wycieczki.



**JASKINIA L'AVEN  
D'ORGNAC,  
POŁUDNIE FRANCJI**

Te zwisające z góry, podobne do marchewek, to stalaktyty.

Te małe, ekscentrycznie zakręcone, to heliktyty.



## JASKINIA KASPROWA NIZNIA, TATRY, POLSKA

Kasprowa dostępna  
jest tylko zimą,  
wiosną wypełnia się  
wodą z topniejącego  
w górach śniegu.

zdać trudny egzamin. Aby wziąć udział w odkrywaniu i badaniu nowych jaskiń, potrzebne jest długie doświadczenie przebywania w tych dobrze już poznanych.

## ODKRYCIA TRZECH

Nasza wyprawa rusza w góry o świcie. Sześciu tragarzy niesie beczki ze sprzętem i jedzeniem. Selwa – meksykański las deszczowy – wita mżawką i mgłą. I tak już zostanie przez następne trzy tygodnie: w dolinie słońce, ale wyższe partie gór będą zatopione w chmurach. Rozbijamy obóz wysoko, na zboczu wapiennego płaskowyżu, w górach Sierra Mazateca. Wiadomo, że jest on podziurawiony jaskiniami. Meksyk to raj dla grotolazów. Odkryto tu dziewięć jaskiń o głębokości przekraczającej tysiąc metrów. Dwie z nich, Cheve i Huautla, mają głębokość prawie półtora kilometra.

– *Skąd nazwa „Tres Amigos” („Trzej Przyjaciele”)?* – pytamy Mike’a kierownika wyprawy.

– *Ponieważ odkryliśmy tę jaskinię we trzech – z Paulem i Randym. To było siedem lat temu. Przyjeżdżamy tu prawie co roku, by ją badać. Wiemy już, że ma ponad 600 m głębokości, a może znacznie więcej.*

Część naszej karawany gubi drogę w lesie. Odnajduje się dopiero następnego dnia – i to tylko dzięki pomocy przewodników. Na stromym zboczu, w gęstej selwie, z trudem znajdujemy miejsce na pięć małych namiotów. Rozstawiamy je pod plandekami, ale i to nie zapobiega podmywaniu obozowiska przez spływającą po zboczu wodę. Brodzimy w błocie po kostki. Liany pchają się nam do garnków z obiadem, a pająki wślazą do cukru. Przyjemność z takiego biwaku jest niewielka.

Obok kusi otwór jaskini.

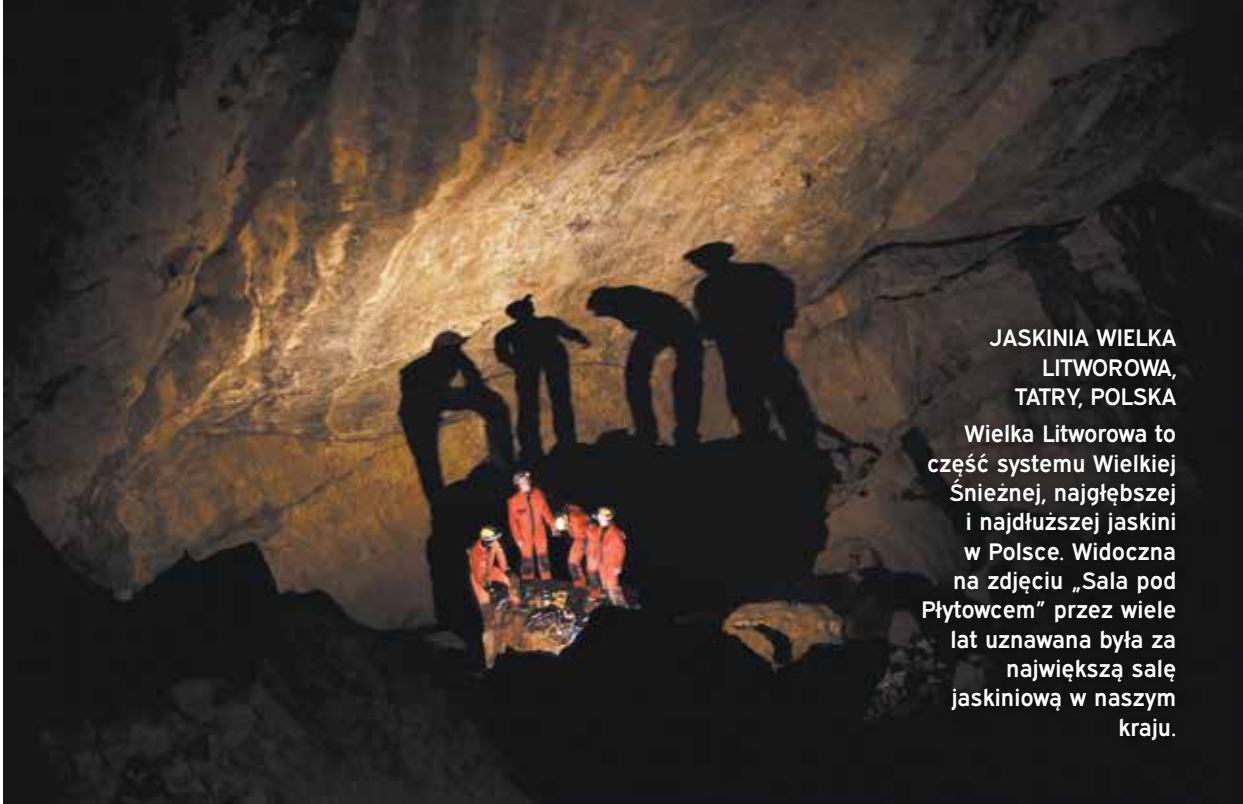
– *Tam pewno jest ciepło i sucho, chodźmy pod ziemię na kilkudniowy biwak* – proponuje Mike.

Na tę wyprawę przyjechali wszyscy trzej odkrywcy. Będą sprawdzać, dokąd dalej ciągną się podziemne korytarze. Jest z nami jeszcze kilkoro Amerykanów, Meksykanów i Polaków – razem trzynaście osób. Międzynarodowy skład – tak jak w większości eksploracyjnych wypraw jaskiniowych.

– *Jak wygląda ta wasza jaskinia?* – wypytuje nas zaprzyjaźniony Meksykanin z wioski, gdy pewnego dnia schodzimy po zaopatrzenie. – *Ludzie mówią, że szukacie tam skarbów.*

Komuś, kto nigdy nie był pod ziemią, trudno sobie wyobrazić jaskinię. Ale jeszcze trudniej zrozumieć cały sens wysiłku jej odkrywania.





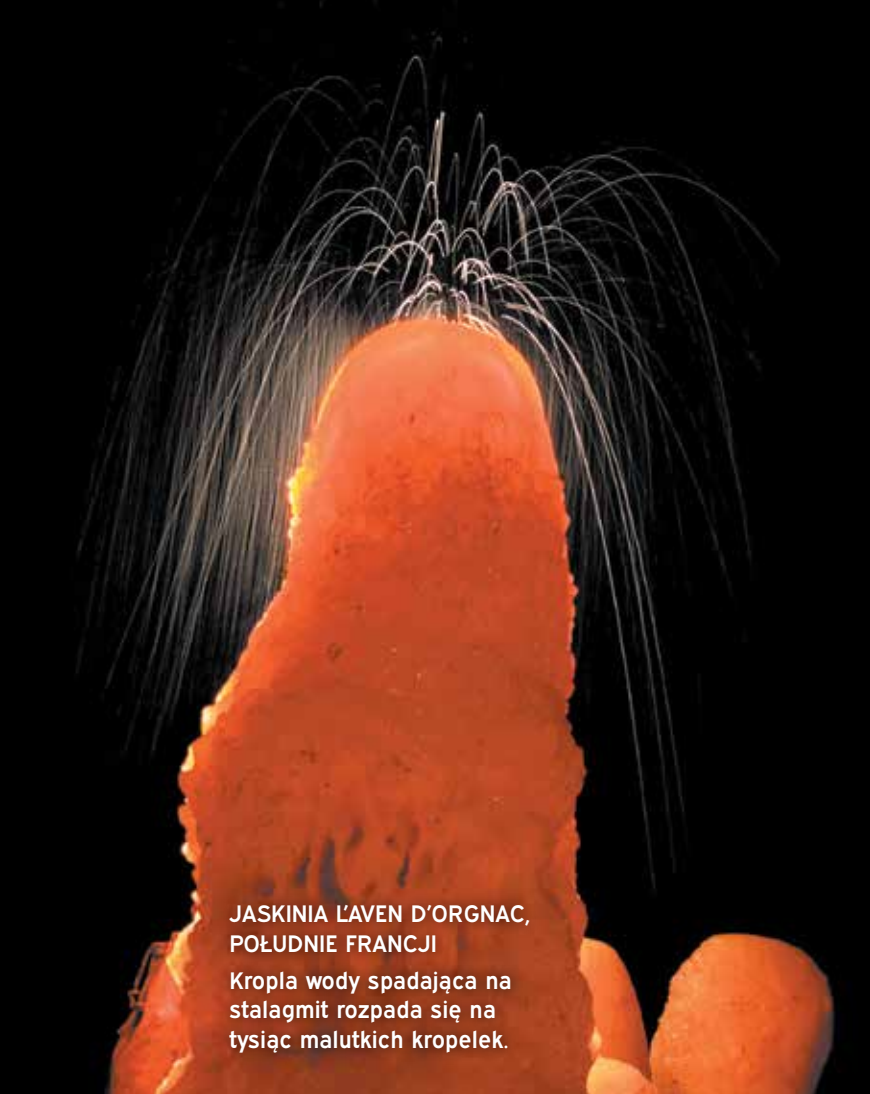
**JASKINIA WIELKA  
LITWOROWA,  
TATRY, POLSKA**

Wielka Litworowa to część systemu Wielkiej Śnieżnej, najgłębszej i najdłuższej jaskini w Polsce. Widoczna na zdjęciu „Sala pod Płytowcem” przez wiele lat uznawana była za największą salę jaskiniową w naszym kraju.



**JASKINIA ZIMNA,  
TATRY, POLSKA**

Akcje ratownicze w jaskiniach tatrzańskich są organizowane przez TOPR, jednak grotołazi regularnie ćwiczą techniki ratownicze.



#### JASKINIA L'AVEN D'ORGNAC, POŁUDNIE FRANCJI

Kropla wody spadająca na stalagmit rozpada się na tysiiąc malutkich kropelek.

**D**LA GROTOŁAZA NAJWIĘKSZĄ FRAJDĄ pozostaje eksploracja – odkrywanie nowych jaskiń. Oczywiście, nie jest to zajęcie na co dzień. Każdy speleolog szuka więc jakiejś niszy, jakiegoś pretekstu do przebywania w jaskiniach. Dla mnie jest nim niewątpliwie fotografia. Zaczęło się tak: Marcin Gala napisał książkę o autoratownictwie w jaskiniach i potrzebne było zdjęcie na okładkę. Poszliśmy z aparatem fotograficznym do jaskini w naszych Tatrach. Zdjęcie wyszło dobrze. Nawet teraz, po kilku latach, nadal mi się podoba. Wydało się nam, że robienie zdjęć w jaskiniach nie jest takie trudne. Zaskoczeniem były rezultaty następnych prób: totalne fiasko. Podjęliśmy wyzwanie i zaczęliśmy się uczyć: czytać książki, szukać sprzętu, oglądać zdjęcia innych fotografów i rozmawiać z nimi. Ale przede wszystkim dalej schodziliśmy pod ziemię, bo bez tego nie ma przygody, ani nawet fotografii.

## MAKARONY I ŚWIECZNIKI

Było tak: najpierw zjechaliśmy na linach przez tak zwane studnie. Później pokonaliśmy ciasny, błotnisty przełaz i wyszliśmy ogromnym korytarzem. Tam czekała nagroda: bajkowe nacieki. Były rozmaite – błyszczące, skręcone jak wielkie świeczniki i proste niczym wiszące makarony. To właśnie nasze „skarby”.

W ich pobliżu zakładamy kilkudniowy biwak – w miejscu, dokąd dwa lata wcześniej dotarła poprzednia grupa. Eksplorację rozpoczynamy od odgałęzienia korytarza, które kończy się zawaliskiem. Jak zawsze w takich momentach, pojawia się niepokój: czy to już koniec jaskini, czy też uda się znaleźć następny korytarz? Z wysiłkiem przeciskamy się między kamieniami i... odsłania się jeszcze obszerniejsza galeria. Trzeba wykonać pomiary, które posłużą nam później do narysowania planu tego miejsca. W jeden dzień odkryliśmy osiemset metrów dziewiczego świata!

Przez trzy tygodnie wyprawy grupy grotolazów zmieniają się podczas podziemnego biwaku. Plan jaskini wypełnia się danymi i rysunkami. Na podstawie tych schematów oraz geologicznej mapy masywu można zastanawiać się nad kierunkami dalszej eksploracji.

Zakończeniem wyprawy jest zbiorowa kąpiel w rzece, wypływającej z potężnego wywierzyška u stóp masywu. Wszyscy są zarośnięci brudem, a mężczyźni mają też wielodniowy zarost. Woda zimna, ale pierwsza po trzech tygodniach kąpiel to wspaniała sprawa. Przy okazji myjemy z błota sprzęt wyniesiony spod ziemi: setki metrów lin, sterty worków transportowych, rolki do zjeżdżania, karabinki do montowania w punktach zjazdowych, sprzęt zaciskowy do podchodzenia po linach. Po kilku godzinach wszystko lśni.

Ilość wody w wywierzyšku jest nieporównywalnie większa od tej w Tres Amigos. To ważne spostrzeżenie, bo oznacza, że wewnątrz masywu do tego systemu s pływa woda z innych jaskiń. Czyli, że jest ich więcej niż te, co na razie poznaliśmy. Możemy się spodziewać, że tutaj czeka na nas jeszcze dużo niezbadanych podziemnych korytarzy.

## JASKINIA IGUANY

Zaczyna świtać. Właściwie ten świt wybucha nagle, jakby ktoś rozchylił zasłone nocy. Schodzimy z hamaków i od razu zabieramy się za pakowanie sprzętu nurkowego do samochodu Franca. Dziś wybiera się na eksplorację cenote, czyli wielkiej





naturalnej studni, która nazywa się Actun Hu (co w języku Majów znaczy „iguana”). Od kilku miesięcy Franco bada ją ze swoimi przyjaciółmi, nurkami. Do tej pory odkryli kilka kilometrów korytarzy. Podczas każdego nurkowania chłopcy pokonują takie odległości, że muszą sobie pomagać w transporcie podwodnymi skuterami.

– *Fajnie jest mieć skuter. Ale idealnie jest mieć dwa skutery, jak my. To dwukrotnie zwiększa zasięg* – mówi Franco, upychając do samochodu kolejne butle nurkowe.

Samochód terenowy powoli pokonuje nierówną drogę wyciętą w selwie. Ostatnie sto metrów przez las pójdziemy na piechotę – wąską, ledwo widoczną ścieżką. Pomożemy zanieść sprzęt i skutery na brzeg cenote.

Franco i Alex zabierają do jaskini po sześć butli nurkowych. Płynąc, będą je zostawiać po drodze jako rezerwę na bezpieczny powrót. Przygotowanie, założenie i sprawdzenie sprzętu zajmuje im sporo czasu, w końcu jednak światła ich latarek znikają między stalaktytami zwisającymi ze stropu w turkusowej toni. Wracają po czterech godzinach,

zadowoleni. Są coraz większe szanse na znalezienie połączenia Actun Hu z sąsiednim systemem. Cenotes łączą się bowiem między sobą, tworząc długie systemy podwodnych jaskiń. Najdłuższe z nich, już poznane, to Sistema Ox Bel Ha i Sistema Sac Actun. Można powiedzieć, że w tym wyścigu ekipy eksploracyjne idą łeb w łeb, ponieważ pierwszy odkryty ciąg korytarzy ma 182, a drugi – 181 km długości.

## O CZYM MARZY GROTOŁAZ

Jadę do Lechuguilli! To, co wydawało się niemożliwe i nieosiągalne – staje się faktem. Lechuguilla to legenda. Ma ponad dwieście kilometrów korytarzy. Pod względem długości jest to piąta jaskinia świata (z tych dotychczas poznanych). Daleko jej co prawda do rekordzistki, Mammoth Cave, w której dotąd zbadano ponad 600 km podziemnych korytarzy. Ale i tu jest co zwiedzać. A przede wszystkim – co oglądać. Lechuguilla, schowana pod półpustynią Chihuahua w amerykańskim stanie Nowy Meksyk, to czołówka jaskiniowych cudów świata.

## JASKINIA POD LODOWCEM, PÓŁNOCNA HISZPANIA

Była połowa sierpnia i słońce mocno już nadtopiło lodowiec w górach Picos de Europa. Utworzyła się pod nim niewielka jaskinia. Przeświecające przez śnieg światło miało nierealną, niebieskozieloną barwę.

## PODZIEMNE REKORDY

### – najgłębsza jaskinia świata

Jaskinia Krubera (Abchazja), 2191 m głębokości

### – najdłuższa jaskinia świata

Mammoth Cave (USA), 627,6 km długości

### – najgłębsza jaskinia Polski

Wielka Śnieżna (Tatry Zachodnie), 824 m głębokości

### – najdłuższa jaskinia Polski

Wielka Śnieżna (Tatry Zachodnie), 23,6 km długości

### – najobszerniejsza sala jaskiniowa

Sarawak (Malezja), 700 x 400 x 70 (m), 162m<sup>2</sup>,

### – najgłębsza studnia jaskiniowa

Vrtglavica (Słowenia), 643 m głębokości

### – najdłuższy „makaron” – w Meksyku, 9 m

### – najdłuższy wiszący stalaktyt – w Meksyku, 12 m

### – najwyższy stalagmit – na Kubie, 67 m

źródło:

<http://www.caverbob.com>

<http://sktj.pl/epimenides>

<http://www.goodearthgraphics.com/virtcave/>

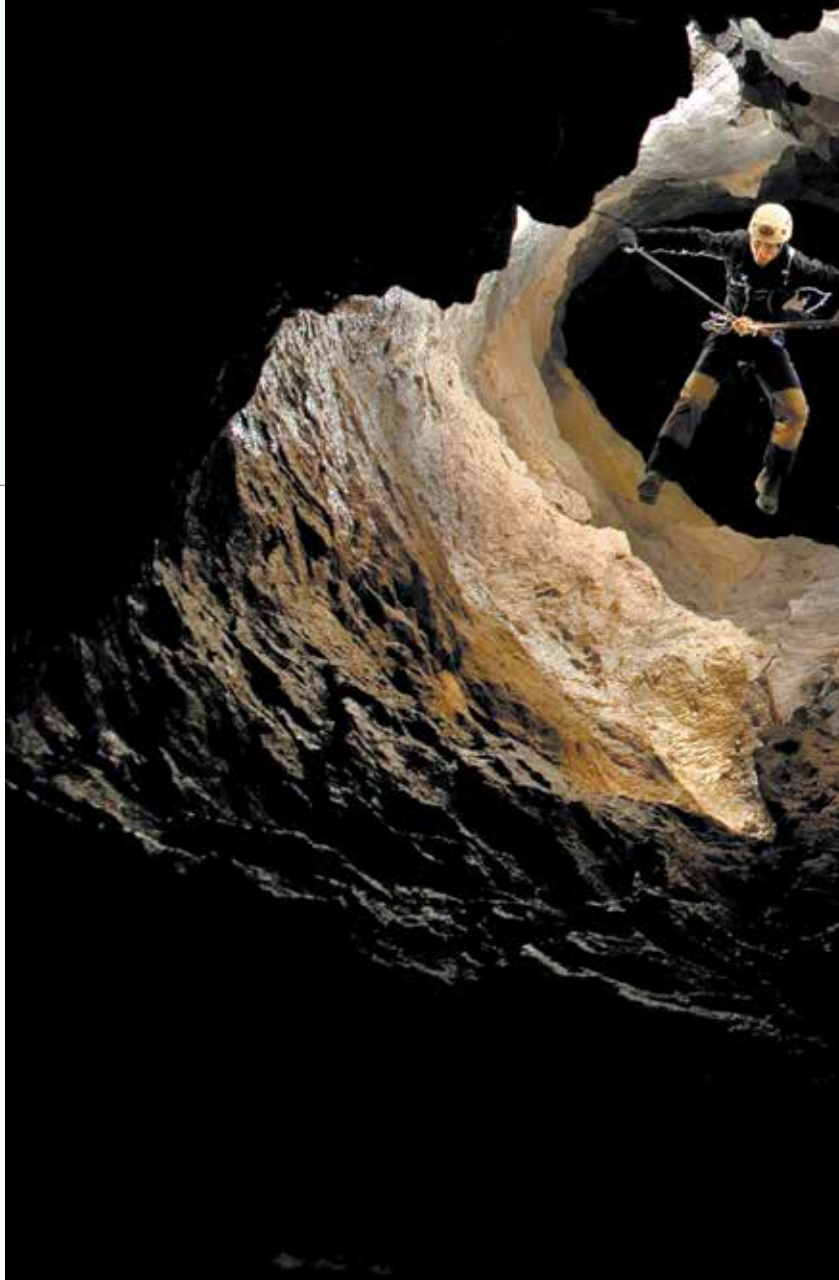
<http://www.mojewyprawy.yoyo.pl>

Lechuguilla jest dostępna jedynie dla garstki naukowców, prowadzących w niej badania, oraz grupki eksplorujących ją grotolazów. Czasami uda się tam wejść jeszcze ekipie fotograficznej lub filmowej. Powodem ograniczeń są nadzwyczaj rzadkie, a jednocześnie bardzo delikatne, nacieki wapienne i gipsowe, które ją obficie zdobią. Wszystkich wchodzących do Lechuguilli obowiązują restrykcyjne reguły dotyczące przebywania w jaskini. Ścieżka dla grotolazów jest wydzielona taśmą, a spać można tylko w określonych miejscach. Nie wolno zostawiać nawet włosów, czy okruszków jedzenia, o śmieciach nie wspominając. Oczywiście nie wolno dotykać nacieków, ani wynosić jakichkolwiek znalezisk.

Nasza ekipa przez cztery dni pomaga w badaniach naukowych i robi dokumentację zdjęciową w Lechuguilli. Przy okazji podziwiać możemy cenne nacieki, pracowicie tworzone przez naturę. Po wyjściu oglądamy na mapie przebytą trasę. Wtedy dopiero dociera do nas ogrom zjawiska. Mimo że od wejścia do jaskini oddalaliśmy się niejednokrotnie nawet o osiem godzin marszu – zobaczyliśmy ledwie małą część tego podziemnego giganta. ○

### JASKINIA POD WANTĄ, TATRY, POLSKA

Zjazd do 45-metrowej studni w kształcie dzwonu. Jaskinia leży wysoko w masywie Małolącziaka w Tatrach Zachodnich i ma duży potencjał eksploracyjny.







## POLSKA PODZIEMNA

Poznanych jaskiń jest w Polsce ponad 3900, jednak większość z nich nie ma więcej niż kilkanaście metrów długości. Najokazalsze jaskinie znajdują się w Tatrach Zachodnich, odkryto ich tam do tej pory około 750. Nieco ponad 100 z nich ma więcej niż 100 metrów długości. Najgłębsza i najdłuższa polska jaskinia – Wielka Śnieżna – znajduje się w światowym rankingu daleko, bo w drugiej setce – zarówno pod względem długości (23,6 km), jak i głębokości (824 m). Drugim ważnym dla grotolazów rejonem w naszym kraju jest Jura, z ponad 1800 jaskiniami. Jaskinie można też znaleźć w Sudetach, Beskidach, Górach Świętokrzyskich i na Pomorzu.

### JASKINIE UDOSTĘPNIONE DLA TURYSTÓW:

#### Góry Świętokrzyskie

Raj – oświetlona, opłata za wstęp

#### Karkonosze

Niedźwiedzia w Kletnie – oświetlona, opłata za wstęp

Radochowska – oświetlona, opłata za wstęp

#### Pomorze

Jaskinia w Mechowie – oświetlona, opłata za wstęp

#### Tatry (źródło: [www.tpn.pl](http://www.tpn.pl))

Dziura

Mroźna – oświetlona, opłata za wstęp

Mylna

Obłązkowa

Raptawicka

Smocza Jama (w Wąwozie Kraków)

#### Wyżyna Krakowsko-Częstochowska

Ciemna – zwiedzanie ze świeczkami, opłata za wstęp

Łokietka – oświetlona, opłata za wstęp

Nietoperzowa – oświetlona, opłata za wstęp

Wierzchowska Górna – oświetlona, opłata za wstęp

Wszystkie inne jaskinie wymagają kwalifikacji, które można zdobyć na kursach w klubach jaskiniowych zrzeszonych w Polskim Związku Alpinizmu.



# ŚWIATŁO NA ŚNIEGU

Zima jeszcze się nie skończyła, w górach na pewno potrwa wystarczająco długo, by te pytania znów do mnie trafiły. Myślę o problemie właściwej ekspozycji fotografii na śniegu. Zresztą problem jest „ponadczasowy”, bo na słonecznej plaży obowiązują te same zasady. Pierwszą rzeczą, jaką musimy zrozumieć, jest mechanizm działania pomiaru światła w aparacie. Zakładam, że przestawiamy aparat na tryb manualny, a pomiar światła na uśredniony.

Teraz kilka słów wyjaśnienia. Do skalibrowania aparatów założono, że przeciętna fotografowana scena to szarość – około osiemnaście procent czerni. Czyli gdybyśmy przekonwertowali powiedzmy milion dobrze naświetlonych zdjęć na obraz czarno-biały i następnie całkowicie rozmazali ten obraz – uzyskalibyśmy właśnie osiemnastoprocentową czarną, a właściwie szarą, plamę. Realizując te założenia, aparat uśrednia pomiar światła i dla bardzo jasno oświetlonej fotografowanej sceny – znacznie odbiegającej od przeciętnej – mechanizm doboru czasu/przysłony wskazuje nam taką war-

tość parametrów, by na fotografii „było szaro”.

Tak się dzieje, kiedy fotografujemy śnieg, albo obiekt na śniegu, który nadal dominuje w kadrze. Co należy zrobić, by na zdjęciu śnieg był biały a nie szary?

## JEST NA TO KILKA SPOSOBÓW.

**PIERWSZY** – zmierz światło na nie śnieg. Czyli najlepiej złap w kadrze czyjąś twarz, dłoń. Tutaj, niestety, najczęściej odcień skóry też jest jaśniejszy od wspomnianych osiemnastu procent, więc to tylko połowiczne rozwiązanie. Lepiej skierować aparat na nieośnieżone drzewa w połowie kadru i niebo (bez rozświetlonych, białych chmur czy słońca w obiektywie), albo na skały (szare – nie białe, czy czarne).

Mierzmy światło, dobieramy pomiar (zestaw – przysłona/czas) na 0 (zero) i tak zostawiamy, fotografując spokojnie, chyba że nagle zmienią się warunki oświetleniowe (np. słońce zajdzie za chmury). Zaawansowani fotografujący zamiast poszukiwać właściwej sceny używają do pomiaru tzw. szarej karty, czyli kartonika (albo plastikowego prostokąta) o właśnie

osiemnastoprocentowym zaczernieniu. I na jego powierzchni robią pomiar, który czasem się dodatkowo uśrednia – na światła i na cienie.

Możemy też po prostu zmierzyć na śnieg i dwukrotnie-czterokrotnie wydłużyć czas (zależy od natężenia słońca) lub odpowiednio otworzyć przysłonę.

**DRUGI** – używamy zewnętrznego światłomierza. Tak robili i nadal czasem robią zawodowcy. Zewnętrzny światłomierz ma jeszcze tę zaletę, że całkowicie uniezależnia nas od barwy i tonacji oświetlenia, mierzy światło błyskowe – a te lepsze sumują i rozdzielają pomiar na ciągłe i błyskowe. Dla mnie największą zaletą światłomierza zewnętrznego jest dyskrecja. Przy reportażu wyciągam aparat dopiero wówczas, kiedy jestem pewien, że zrobię zdjęcie – minimalizuję tym spożyczenie fotografowanych ludzi, bo kiedy spostrzegą reportera – już mam to, na co się czaiłem.

**TRZECI** – najmniej przeze mnie lubiany – kilka kadrów próbnych i doprowadzenie histogramu do normy. Przede wszystkim taką możliwość dają nam tylko aparaty cy-





Ekran do...

## aparatu fotograficznego!



CLM-V55 to monitor wideo z 5-calowym ekranem LCD o rozdzielczości WVGA (800 x 480). Urządzenie można z łatwością zainstalować na większości aparatów z wymienną optyką, jak również na współpracujących kamerach HD, przy użyciu dostarczonego adaptera. Ekran o szerokim kącie widzenia umożliwia podgląd czystego, wyraźnego obrazu filmowego zarówno podczas filmowania, jak i odtwarzania. Tryb powiększenia 1:1 pozwala na dokładne sprawdzenie ostrości. Monitor CLM-V55 można założyć na szereg aparatów z wymienną optyką i trybem rejestracji filmów HD oferowanych przez Sony i innych producentów. Zawiera wiele profesjonalnych rozwiązań, które pomagają pasjonatom fotografii i wideofilmowania w uzyskaniu filmów HD wysokiej jakości. Produkt dostępny od marca, cena jeszcze nie znana. [www.sony.pl](http://www.sony.pl)

### SPOSÓB NA ZDJĘCIE

Tryb manualny i ręczne ustawienie parametrów naświetlania przydają się bardzo przy zdjęciach seryjnych, kiedy zmiana położenia ciemno ubranego narciarza czy przekadrowanie i zmiana położenia ciemniejszego tła na pewno wpłyną na dobór automatyczny ekspozycji – i zdjęcia z serii przestaną być jednorodnie!

frowe. Po drugie jest czasochłonny, bo dodatkowe zdjęcia trzeba odszukać i skasować.

Poza tym nie uczy nas intuicyjnego nastawiania parametrów. Osobiście akceptuję taki sposób tylko w moim aparacie (Sony A900), który daje mi tzw. podgląd inteligentny. Fotografia wykonana tym sposobem jest buforowana, a nie zapisywana na karcie. Aparat wyświetla ją na ekranie wraz z zestawem parametrów, którymi w trakcie regulacji od razu wpływamy na wyświetlany obraz. Po regulacjach wszystko poza nastawami znika, a na karcie zostają tylko właściwe zdjęcia. Ktoś powie – to samo daje Live View! – Nie do końca, bo tryb podglądu na żywo nie załatwia sprawy światła błyskowego, w tym doświetlania. A tu mamy wszystko jak na dłoni.

**NAJWAŻNIEJSZE** – trzeba się nauczyć podstaw teoretycznych i wiedzieć, jak działa aparat, naświetlanie. A reszta jest już tylko praktyką. Przynajmniej na tym, podstawowym etapie.

**POWODZENIA!**

## Jeden za wszystkich

Cisco to potentat rozwiązań sieciowych, nastawiony na rynek profesjonalny. Jego firmą córką jest Linksys – jednak w wypadku mniejszej firmy, "amatorskiej" zdaniem większości użytkowników – stosuje się również rozwiązania z "górnej półki". Linksys WAG320N to kilka urządzeń w jednej obudowie.

Modem ADSL podłączy nas do sieci szerokopasmowego internetu, wbudowany router LAN 1000Mbps – pozwoli nie tylko rozdzielić sygnał na inne komputery, ale przede wszystkim na bardzo szybką komunikację między nimi. Jeśli portów LAN (4) zabraknie – do dyspozycji mamy wydajny, 3-antenowy Access Point czyli bezprzewodowy przekaźnik sieciowy. Na koniec rodzynek – port USB 2.0 pozwoli na udostępnienie plików ze zwykłego pendrive'a lub wydajnego, zewnętrznego dysku twardego – tworząc tym samym domowy serwer plików. Wszystko już za niecałe 400 zł.

<http://www.linksysbycisco.com/PL/pl/products/WAG320N>

<http://www.ram.net.pl/>



## Kto da więcej?

Komu nie wystarczy funkcjonalność wspomnianego urządzenia Linksys WAG320N lub innego domowego urządzenia sieciowego – może łatwo ją uzupełnić mikrokomputerem firmy IOMEGA – iConnect Wireless Data Station. Jest to jakby router tyle, że wyposażony w 4 porty USB 2.0 – dzięki czemu do domowej sieci wpiąć możemy (udostępniając sieciowo!) dyski twarde zewnętrzne, pendrive'y, drukarkę. Dodatkowo użytkownicy Apple mogą korzystać z technologii Time Machine! Do sieci wpinamy się przez port sieciowy, albo... bezprzewodowo! Nic tylko kupić, używać i się zachwycać! Cena – ok. 300 zł.

<http://www.morele.net/> • <http://www.iomega.com>









## Obiad z rzeki

---

Dziś prawie już tego nie pamiętamy, a jeszcze nie tak dawno na polskich stołach często gościły ryby słodkowodne. I nie chodziło o te hodowane w stawach, których było stosunkowo niewiele. Natomiast, powszechnie łowiono ryby w jeziorach i rzekach. Była to darmowa i stosunkowo łatwo dostępna żywność. Wystarczyła prosta siatka, czasem łódź i już można było zaopatrzyć rodzinę w świeże jedzenie. Szczególnie na przednówku oraz zimą korzystano z naturalnego bogactwa wód. Kiedy skute były lodem (dawniej zimy były zdecydowanie bardziej srogie) łatwiej można było dostać się do miejsc obfitujących w ryby.

Na zdjęciu: mieszkańcy Krakowa wyprawili się na połów.  
Był luty 1941 roku.

Dziś na brzegu Wisły spotkać można tylko wędkarzy, którzy – o ile mają szczęście złapać rybę – zazwyczaj fotografują ją i... wypuszczają.

## BERLIN

Gdyby mur berliński wciąż istniał, miałby 50 lat. Na szczęście jego resztki są już tylko przestrożą dla potomnych i atrakcją turystyczną. Stolica Niemiec tętni życiem, jak mało która metropolia Europy, starając się zapomnieć o dawnych podziałach.



AFGANISTAN



LAOS



NEPAL



ROZTOCZE

# Poznaj Świat

**Redaktor naczelny:**  
Janusz Czerwiński

**Zespół i współpracownicy:**  
Wojciech Albiński, Marek Arcimowicz,  
Ryszard Bądowski, Olgierd Budrewicz,  
Marek Kamiński, Dorota Kobierowska  
(honorowy sekretarz redakcji), Robert Mazurek,  
Beata Pawlikowska, Dariusz Rosiak,  
Wojciech Walczuk (fotoedytor), Monika Witkowska,  
Beata Wojciechowska (mapy)

**Adres redakcji:**  
Kowale, ul. Glazuruwa 7, 80-180 Gdańsk  
e-mail: [redakcja@poznaj-swiat.pl](mailto:redakcja@poznaj-swiat.pl)  
tel. 694 432 088  
[www.poznaj-swiat.pl](http://www.poznaj-swiat.pl)

**Wydawnictwo:**  
PROBIER  
spółka z ograniczoną odpowiedzialnością sp.k.  
Kowale, ul. Glazuruwa 7  
80-180 Gdańsk  
KONTO DLA PRENUMERATORÓW:  
02 1140 1065 0000 2155 8200 1004

**Produkcja, Prepress i Internet:**  
Krzysztof Urbański  
[krzysztof.urbanski@poznaj-swiat.pl](mailto:krzysztof.urbanski@poznaj-swiat.pl)

**Koordinator ds. wydawniczych:**  
Katarzyna Rojek  
e-mail: [katarzyna.rojek@poznaj-swiat.pl](mailto:katarzyna.rojek@poznaj-swiat.pl)

**Druk:**  
RR DONNELLY Europe Sp. z o.o.

**Dystrybucja:**  
TM Media Mirosław Tański

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca.  
Zastrzega sobie prawo do zmian tytułów  
i opracowania redakcyjnego tekstów.

**Reklama:**  
Aleksandra Harasimiuk  
e-mail:  
[ola.harasimiuk@poznaj-swiat.pl](mailto:ola.harasimiuk@poznaj-swiat.pl)  
tel. 664 115 333  
Olga Kołakowska  
e-mail:  
[olga.kolakowska@poznaj-swiat.pl](mailto:olga.kolakowska@poznaj-swiat.pl)  
tel. 501 050 624  
Grzegorz Miedziński  
e-mail:  
[grzegorz.miedzinski@poznaj-swiat.pl](mailto:grzegorz.miedzinski@poznaj-swiat.pl)  
tel. 501 641 706





**VII TARGI**  
**ROWERY**  
**2011**

**WARSZAWSKIE CENTRUM**  
**EXPO XXI**  
**UL. PRĄDZYŃSKIEGO 12/14**  
**12-13 marca**  
**SOBOTA 9-18, NIEDZIELA 9-17**

patron medialny

**bikeBoard**  
magazyn rowerowy

organizator: Sport Expert  
tel: 22 7372860, tel/fax: 22 7507326, kom: 501278878  
e-mail: [biuro@targirowery.pl](mailto:biuro@targirowery.pl)

**[www.targirowery.pl](http://www.targirowery.pl)**

# Etiopia

13 MIESIĘCY SŁOŃCA W ROKU



[www.DiversityToursEthiopia.com](http://www.DiversityToursEthiopia.com)

**DIVERSITY TOURS ETHIOPIA:** Tel. +251-11-6612009 • Fax: +251-11-6612017 • Mob. +251-91-1615794